

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
 Rocznie 8.—
 półrocznie 4.00
 kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26
 Otwarte codziennie prócz świąt o J
 11 godziny do 4 pp.
 Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
 W tekście (nadesłane) 1 rb.
 Po tekście 20 k.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał 2-gi.

Wzbiera...

Żyjemy na ustroniu.

Cofnięci w rozwoju, skazani na byt niemal wegetacyjny, jedynie echami walk i wysiłków obcych łaskoczemy od czasu do czasu nadzieje i odgrzewamy wiarę w lepsze jutro.

Porywy twórcze — rzecz cudza.

My sami — nic.

Czekać, a trwać — cała mądrość nasza.

Wprawdzie chętni się walkami. Lecz w istocie czemże są te walki?

Półsensnymi ruchami opędzamy się muchom drobiazgowo dokuczliwej samowoli. Ot, wszystko.

A chociaż z kraju tego dmą na państwo całe alarmy, tudzież surmy zwycięskie prześladowców naszych, niemniej jest to tylko bzykanie insektów, którym się zdaje, że naprawdę coś robią, walcząc z rewolucyjnością... (żał się, Boże!) księży, z marzycielstwem... żubrów, a wreszcie choćby z napisami na torebkach od pieprzu.

Różnie objaśniano spokój Litwy i Białej Rusi w czasie ostatniej zawieruchy. Palmę zasługi wydzielali sobie kolejno energiczni rządcy kraju i patriarchalni społeczeństwa przodownicy. A przecież w rzeczywistości spokój był, bo... nie mogło go nie być. Na niepokoje brak nam elementów aktualnie czynnych.

Rzesze chłopstwa?

Czasy wojen chłopskich minęły. A gdyby nawet włościanstwo mogło okazać się jeszcze zdolnym do rekonstrukcyjnych porywów, to... czyż my mamy, jedynie dlań zrozumiałą, kwestję agrarną? Jeśli nawet objawia się ona tu i owdzie, to w stanie ledwo zalążkowym.

Kwestje narodowe?...

Nie! My nie znamy kwestji narodowych. Mamy conajwyżej drobne, mizerne waśnie, wystarczające na wszczynanie awantur po parafjalnych koś-

ciolach. — A przede wszystkim brak nam jednej, potężnej, kraj cały ogarniającej, narodowej ambicji.

A może liberalizm?... Toć zdawałoby się, że w kraju, gdzie resztki ustroju stanowego ciążyą dotąd nad społeczeństwem i pętają ruchy jego zbudawianymi więzami średniowiecza, hasła liberalne mogłyby jeszcze okazać moc, elektryzującą umysły. Ba! ale na to trzeba posiadać dojrzałe społecznie, świadome znaczenia swego i organicznie z krajem związane mieszczaństwo. A u nas gdzież ono?... Mamy żydowstwo — mieszczaństwa nie mamy. Dążenia stanu trzeciego, płacząc się z kwestją żydowską, tracą znaczenie zbieracza energii opozycyjnej.

Brak nam wreszcie siły społecznej, jedynie dziś potężnej, jedynie zdolnej do czynu solidarnego i celowego, mianowicie — proletariatu.

To też w epoce, podporządkowującej walki polityczne konfliktom społecznym, jesteśmy niemi, jakby nieobecni na terenie zapasów dziejowych. Zapasy te odbywają się bez nas, poza nami, choć w ich wynikach bezpośrednio jesteśmy zainteresowani.

Jako żeglarzy, rudla i wiosł pozbawionych, niesie nas prąd wypadków dziejowych.

Ku rafom, mieliznom, czy dogodnej przystani?—w ogromnej części nie zależy to od wysiłków naszych.

Więc starajmy się bodaj wyteżać słuch, wyteżać wzrok. Starajmy się wiedzieć, jakie każdej chwili działają moce i orjentować się w nich; bo wszak nie wykluczone jest nadejście momentu, w którym od stopnia przytomności naszej wiele zależeć będzie.

Ze stolicy olbrzymiego imperjum nadchodzą wieści znamienne. Tamy, przez reakcję zbudowane, zdają się trzeszczeć na dobre. Walka z ruchem robotniczym przybiera znów rozmiary niepowszednie.

Z jednej strony strejki ekonomiczne, coraz częściej przeplatane politycznymi, którym towarzyszą tłumne, ponure manifestacje; z drugiej — dławienie legalnych organizacji, bezwzględne tępienie prasy, aresztowanie ludzi czynniejszych, uważanych za niebezpiecznych agitatorów, do których w oczach policji zaliczani są nawet delegaci kas chorych...

W masach rozjątrzenie wzrasta. Powody najbłahsze wystarczają coraz częściej do demonstracji i porzucania pracy. A w odpowiedzi na to, lokauty wyrzucają na bruk wciąż nowe zastępy „buntowników“, czem—rzecz prosta—nie przyczyniają się bynajmniej do... gaszenia ognia.

Walka ta poczyną wreszcie odbierać stronom wojującym panowanie nad sobą. I oto gdy np. wyższe sfery rządowe noszą się podobno z zamiarem zwołania konferencji, w której wzięliby również udział przedstawiciele związków zawodowych — a zatem w chwili gdy wartość owych związków dla utrzymania pewnego ładu uznają już sami naczelnicy biurokracji—inne jej organy zamykają największą z tych organizacji, związek metalowców, liczący 11 tysięcy członków.

Widoczne tu rozdwojenie jest symptomatem doniosłym.

Pamiętajmy przytem, że Petersburg przestał już być tylko stolicą Rosji biurokratycznej. Jest on również stolicą Rosji opozycyjnej, która stąd czerpie hasła, wzory i żar tęsknot idejowych.

Wytężmy wzrok, wytężmy słuch.

Tam na północy, na wschodzie wzbierają znów fale nieokiełznanego żywiołu.

H. R. C.

WACŁAW MAKOWSKI.

Marzenie i czyn.

Już w połowie XIX wieku *Mickiewicz* w wykładach literatury i w artykułach „Trybuny ludów“ rozwijał zasady *filozofji czynu*. Wychodziła ona z założeń romantycznych; była może dalszym ciągiem romantycznego światopoglądu poety, ale wkraczała już w nowe dziedziny. A kiedy, mówiąc o tem, iż każde dzieło powinno być czynem, zaznaczał, że jak *Mojżesz* z góry widzi ziemię obiecaną poezji, do której sam już wejść nie może, to ta obiecana ziemia miała właśnie wydawać plony czynu, miała być dziedziną poezji czynu, a że „poezja“ znaczyła w języku ówczesnych ludzi kwintesencję pracy psychicznej człowieka, więc i dziedzinę filozofji czynu. To też widzimy *Mickiewicza*, nawołującego do pojmowanego specyficznie napoleonizmu, do wyrabiania w sobie mocnego twór-

Tragifarsa.

Lwów, 7 kwietnia.

Jeśli nie wiesz, czytelniku, co się właściwie tragifarsą nazywa — to słuchaj.

Odbył się w Krakowie tłumny kongres stronnictwa ludowego. Zjechali ze wszech stron delegaci, w liczbie 3200, a nadto przybyli wszyscy posłowie socjalistyczni oraz przedstawiciele demokracji postępowej.

Cóż to za uroczystość nadzwyczajna? Skąd te tłumy, rzadko widywane na kongresach partyjnych? Co znaczy manifestacyjne zjawienie się gości?

To rehabilitacja *Stapińskiego*.

Rehabilitacja?

Niezupełnie.

Wszedł na mównicę i przyznał się do szeregu grzechów. Na cele partyjne czerpał środki ze źródeł ciemnych. Brał od figur, co darmo nie dawały: żądał koncesji z programu.—Koncesje przyrzekał i wprowadzał w życie, ale... chwilowo. Inaczej mówiąc, w pole wyprowadzał płacących (naturalnie, o ile nie pilnowali go).

Wynurzeń tych z natężoną uwagą słuchali delegaci w sukmanach. Oczy im błyszczą; ten i ów chytrze się uśmiecha.

Mówca, doskonale orjentujący się w nastroju audytorjum, coraz szerszym się staje.

— Brałem! — woła. — Brałem i brać będę. Tak! Choćby mi przyszło od djabła samego wydobywać środki na obronę waszej sprawy, nie cofnę się.

Chłop.

Stapiński wie, że słuchaczy porwie tem oświadczeniem. Wie, że w duszach ciemnych, zmaterializowanych krwawą walką o byt, w duszach, wieki długie milczeniem odpowiadających na krzywdy, granic nie znające—tyle nagromadziło się zawziętości, chytrej chciwości, podstępny, że na żadne sentymenty, żadne w walce skrupuły miejsca tam niema.

Brać, kiedy dają... A potem?.. Potem, bodaj ukradkiem, swoje zrobić: choć trochę, choć odrobine, ile się uda.

czego ducha, wreszcie szukającego terenów spolecznego czynu dla siebie.

Około tego samego czasu w r. 1838 wychodzi książka *Cieszkowskiego* „Prolegomena zur Historiosophie“ i w książce tej głosi *Cieszkowski* przewidywania co do epok świata (modnym naówczas zwyczajem był ten podział na epoki świata; zarówno mistycy, jak i pozytywiści z *Comtem* budowali życiu takie schematy) — co do przyszłej, trzeciej epoki: przodowania słowian, ściślej polaków, i twierdzi: „filozofja praktyki, jej najkonkretniejszy wpływ na życie i stosunki społeczne, rozwinięcie się prawdy w najkonkretniejszą czynność—oto jest przyszły los filozofji wogóle... Jak myśl i refleksja prześcignęły sztuki piękne, tak teraz *czyn* i działalność społeczna prześcigną prawdziwą filozofję“.

A *Trentowski*, poszukując najdonioślejszej istoty życia psychicznego, jaźni, wywodził: „Jaźń stanowi w nas świat trzeci, boski, a objawem jej nie jest ruch fizyczny, czyli siła, ani ruch metafizyczny, czyli myślenie, ale wola, przedsięwzięcie i czyn moralny, dzielność charakteru, miłość prawdy, piękności i cnoty, świętość, religja i polityka, zdol-

Dużo powiedział Stapiński. Było w tem zaś tyle cynizmu, że goście-sprzymierzeńcy, panowie w surdutach—mimo radykalizmu swego—gorszyli się po kątach, a niesmak co chwila krzywił im oblicza.

Lecz spowiedź owa stanowiła jeno częśćkę tego, co mógłby chłopstwu powiedzieć jego prawdziwy „brat starszy“. Między mównicą, a ławami delegatów wyczuwało się nieme porozumienie.

— Co tam! Niema złych środków; byle swego dopiąć.

A Stapiński dopiął—oho! i niejednego.

Toć nawet wtedy, gdy brał od stańczyków, którzy poto przedewszystkiem dawali, by skrepować radykalizm ludowców, nie zaprzedał się im całą duszą. Radykalizm złagodził wprawdzie, ale równocześnie wymagał ustępstw w bieżącej polityce oligarchicznej; zmuszał rządów kraju do liczenia się nietylko z ich stanowym egoizmem, ale też z interesami mas.

I właśnie ta okoliczność, że się nie dał całkowicie kupić, że pod powierzchowną deprawacją polityka — galicyjskiego polityka! — pozostała niezachwiana wierność hasłom demokratycznym—ta to okoliczność była rzeczywistą przyczyną podjętej przeciw niemu kampanji.

Ustępstwa, które Stapiński wymógł na swych sojusznikach, stały się głównym kamieniem obrazy dla endecji, klerykałów i „podolaków“ (bezwzględnie wszelkiemu postępowi wrogiej, szlachty wschodnio-galicyjskiej).

Rozpoczęła się naganka zajadła, wściekła, kalumniatorska. Zanim wrogowie Stapińskiego utrafili wreszcie na zarzut słuszny, zleli człowieka tego od stóp do głów pomyjami najfałszywszych oskarżeń. Z racji np. sprawy *Canadian Pacifik* ogłosili przywódce ludowców za kryminalistę, który — zdawałoby się—wprost z sejmu i parlamentu do więzienia pójdzie. Strzał spalił na panewce. Lecz endecja dalej czyniła swoje. Kłamstw, oszczerstw, denuncjacji — nie zliczyć.

W miarę rozwijania się kampanji przeciw Stapińskiemu, stopniowo przeobrażał się jej cel właści-

wy. Gdy w początku szło o niedopuszczenie do „radykalizowania polityki narodowej“, w późniejszych stadjach walki pojawiły się inne jeszcze motywy. Rozbić ludowców i wziąć chłopstwo pod komendę własną—oto było główne, wypieszczone marzenie endecji. Potem szło jej o zmniejszenie wpływów Stapińskiego i jego frakcji w Kole Polskiem, by wzmocnić tam swoje stanowisko.

A oto bilans kampanji:

Stapińskiego skompromitowano. Za to, iż nie dał się do cna skorumpować, ujawniono, że przecież jednak — brał.

Wódz ludowców stał się niemożliwy, jako sojusznik stańczyków. Tryumf ten jednak przyszedł trochę za późno, bo już po wygryzieniu Bobrzyńskiego, a więc i po upadku t. zw. bloku namiestnikowskiego, rzekomo „radykalizującego politykę narodową“.

Z dwu celów dalszych, choć w rzeczywistości najbliższych sercu endecji, żaden nie wypadł całkowicie po jej myśli.

Stapiński—jak się dziś pokazuje—nie dał sobie wydrzeć buławy hetmańskiej. Ma wciąż za sobą tłumy chłopstwa i staje znów na czele partji, do której przechodzi olbrzymia większość członków dawnego stronnictwa ludowego. Porzuca jednak Koło Polskie, wraca na stanowisko dawne—bezwzględnej opozycji. W Kole robi się więc znów luźniej demokratom narodowym. Czy jednak pozwoli to im wodzić tam rej, jak ongi—wielkie jeszcze pytanie. Kampanja przeciw Stapińskiemu zbrukała go, ale w równym prawie stopniu obryzgała i nieprawych obrońców moralności w polityce.

Najrealniejszym skutkiem walki będzie ponowne osłabienie Koła Polskiego, z którego występują stronnicy Stapińskiego (ilu naogół za nim pójdzie z posłów obecnych—jeszcze nie wiadomo); drugi zaś skutek—to zradykalizowanie ruchu chłopskiego, podającego dziś rękę socjalizmowi.

W całej tej historii potwierdza się przysłowie: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“. Skutki kampanji nie trafiły w jej cele.

A momentem, czyniącym z dramatu tragifarsę, jest to, iż zamiast pierwiastków dobrych i złych, po

ność do poświęcania się i największych ofiar dla dobrego“.

Tak zwolna w połowie przeszłego stulecia zupełnie od siebie niezależnie przychodzili filozofowie polscy do zapowiadania filozofji czynu, filozofji pragmatycznej. Nie chodzi tu, rzecz prosta, tylko o etykę, bo w etyce czyn jest tylko skutkiem teorii, tu zaś raczej teoria jest wynikiem czynu.

Myśl Cieszkowskiego o służebnym znaczeniu filozofji powtórzy prawie dosłownie James, twierdząc, że „teorie stają się narzędziami, nie zaś odpowiedzią na zagadki, dające nam prawo do wypowiedzenia“. (Pragmatyzm p. 30). A matematyk Poincaré, zastanawiając się nad „prawdziwością geometrii“ i prowadząc porównanie pomiędzy geometriami Euklidesa, Łobaczewskiego i Riemana, z których każda może być związana w system zamknięty, logicznie skończony i konsekwentny, a które jednak różnią się zasadniczo (suma kątów trójkąta = 2d u Euklidesa, > 2d u Łobaczewskiego, < 2 u Riemana i t. p.), porównując je, Poincaré mówi: „Jedna geometria nie może być prawdziwsza od innej, może być tylko dogodniejsza; otóż geometria euklidesowa jest i pozostanie naj-

dogodniejszą: 1) Dlatego, że jest najprostszą. 2) Dlatego, że przystosowana jest dość dobrze do własności brył stałych przyrodzonych, brył, do których zbliżają się członki ciała naszego i nasze oko i z których sporządzamy nasze przyrządy miernicze“.

Innymi słowy jest ona odpowiednia „jako narzędzie“ (James), może być zamieniona w „konkretną czynność“ (Cieszkowski), a to tylko jest dla nas probierzem prawdy. To, co się w konkretną czynność zamienić nie da, nie jest prawdą dla naszego świata“.

A dla Bergsona świadomość, akty doznania, akty pamięci, jeśli je będziemy traktowali jako czynność świadomości bezinteresownej, są nie do pojęcia. Można je zrozumieć tylko jako przygotowanie do działania.

Działanie—ta ciągła twórcza praca tego pędu życiowego, który niby *vis a tergo*, popycha władze umysłowe człowieka do sprawnego funkcjonowania, jest jedyną istotną rzeczywistością.

Reszta to fikcje utylitarne, stwarzane przez myśl poto, aby ułatwić poznanie i działanie tej

obu stronach stanęły do walki szpetne. Obludne szalbierstwo wytoczyło proces korupcji, a zwyciężca okazał się niespodzianie—cynizm.

Wester.

Z pod Wawelu.

Kraków, w kwietniu 1914.

Jeszcze rok nie upłynął od czasu ostatnich wyborów sejmowych, a już Kraków stoi pod znakiem wyborów. Tym razem jednak nie wybory do Sejmu, niedawno zreformowanego, stoją na porządku dziennym, gdyż zapowiedziano, że dopiero na wrzesień: chodzi o wybory do rady miejskiej. Rada miejska krakowska odnawia swój skład na podstawie ustawy w ten sposób, że ustępuje najpierw połowa członków, a w 3 lata później druga. Teraz właśnie upływa kadencja połowy członków, a nowe wybory przypadną na pierwszą połowę maja.

Rządy w mieście sprawuje od lat wielu stronnictwo demokratyczne, podzielone na dwie grupy, często się ze sobą sprzeczące zwłaszcza przy podziale mandatów, lecz ostatecznie idące w krytycznej chwili ręka w rękę. Na czele pierwszej z tych grup stoi prezydent miasta, Leo, wieczny kandydat na ministra, niegdyś konserwatysta, dziś demokrat, nie lubiany w mieście z powodu dyktatorskich zachcianek, lekceważenia opinii publicznej, oraz kumania się z najbardziej wstecznym stronnictwem żydowskim, tak zwaną „kahalną“ partją. Na czele drugiej, mającej w sobie więcej pierwiastków demokratycznych, stoi dr. Bandrowski, prezes Tow. Szkoły Ludowej. Wybitną rolę gra w niej również p. K. Srokowski, jeden z najzdolniejszych polskich dziennikarzy.

Wybory do rady miejskiej, poczynając od tej chwili, kiedy Leo z konserwatysty stał się demokratą, dawały zwykle zwycięstwo demokratom, którzy krok za krokiem wypierali z każdej kurji zamierające

stronnictwo stańczyków. Dziś sytuacja się zmienia: demokracja krakowska z pozycji zaczepnej przechodzi do obronnej, i dzięki temu właśnie nadchodzące wybory będą tak interesujące. Żywołem, szykującym się do walki, aby wyprzeć demokratów z ratusza, nie są oczywiście stańczycy. Ci ostatni znajdują się w rozpaczliwym położeniu. Narodowa demokracja ogłosiła tych wiernych synów kościoła za „masonów“, wyparła się ich szlachta podolska za ustępliwość wobec rusinów, a nawet biskup Sapieha uważa ich za żywołem niedość prawomyślny, obdarzając za to swemi łaskami krzykliwą a nie przebierającą w środkach zgraję, grupującą się dokoła antysemitckiego „Głosu Narodu“, szumnie nazywającego się organem chrześcijańsko-społecznym, choć pracy chrześcijańsko-społecznej nikt nigdy w Krakowie nie oglądał, chyba że intrygi dewotek dadzą się pod tę nazwę podciągnąć.

Te to właśnie żywoły, nie zaś opuszczeni przez wszystkich stańczycy, podejmują dziś walkę o władzę w mieście. Podjmują ją zaś nie same, lecz w sojuszu z narodową demokracją. Narodowa demokracja—to zjawisko na bruku krakowskim zgola nowe i Kraków słusznie się do niedawna chepił, że na jego teren nie przeszczepiono lwowskich metod działania. Wszystko się jednak zmienia, więc i szczepionka narodowo-demokratyczna przyjęła się w mieście. Stało się to zaś za sprawą docenta filologii romańskiej na uniwersytecie Jagiellońskim, prof. Strońskiego, który rozwinął na tutejszym gruncie od lat niewielu ożywioną działalność, uwieńczoną powodzeniem, gdyż udało mu się wciągnąć do wspólnej akcji wielkie grono inteligencji, a w tej liczbie bardzo wielu profesorów i docentów uniwersyteckich.

Hasłem, pod którym prof. Strońskiemu (posłowi na Sejm krajowy z większej własności z ramienia „podolaków“!) udało się skupić różnorodne żywoły, była walka z żydami. Rzucono hasło uwolnienia się od przewagi ekonomicznej żydów, spolszczenia miast i tym podobnych, znanych z warszawskiego bruku. Na gruncie krakowskim operowanie podobnemi hasłami wydać się musi nieco dziwnem, zwłaszcza, że przewaga ekonomiczna żydów nie istnieje, co stwierdza w swem znakomitem dziele taka powaga, jak

siły życiowej. Ewolucja twórcza jest treścią bytu, istotą trwania, jedyną poznawalną rzeczą.

Nie będę tu rozwijał szczegółów koncepcji Bergsona, tak samo, jak nie będę przytaczał teorii nowych szkół filozoficznych niemieckich; jednak wszędzie odnajdziemy tę samą zasadę, ten sam probierz praktyczny, czy raczej pragmatyczny, bo pomiędzy temi dwoma pojęciami zachodzi głęboka różnica.

Oto *Ostwald* mówi: „Wszystko, co należy do rzeczywistości, wpływa na nasze postępowanie, a ten wpływ jest znaczeniem rzeczy dla nas. Mam zwyczaj stawiać takie pytania moim uczniom: W jakim względzie świat różniłby się, gdyby ta lub inna alternatywa była prawdziwą? Jeśli się nic nie zmieniło, to przeciwstawność niema sensu“.

Probierzem więc prawdziwości jest wpływ na nasze postępowanie, „rozwiniecie się w konkretną czynność“.

Możnaby mnożyć i mnożyć przykłady, z rozmaitych filozofów całego już świata czerpane, tembardziej, że żyjemy w epoce wyraźnego i doniosłego rozrostu filozofji, a wszystkie te przykłady i cytaty świadczyłyby o jednym: że zewsząd myśl

ludzka, jakby jedną siłą gnana, a najrozmaitszemi drogami płynąc, jak rzeki do morza spływa do przodującego pojęcia czynu, działania, postępowania, tworząc i rozwijając filozofję (od greckiego wyrazu pragma—działanie) pragmatyczną,—filozofję czynu.

Jakież zachodzi stosunek pomiędzy tą filozofją pragmatyczną, a romantyzmem i pozytywizmem?

René Berthelot w swojem obszernem studjum o pragmatyzmie, stanowiącem jak gdyby historję całej filozofji spółczesnej, nazywa go „romantyzmem utylitarnym“, i ustala, a przynajmniej usiłuje ustalić, że pagmatyzm nic, albo prawie nic nowego do filozofji nie wnosi, czerpiąc tylko pełną ręką i odkrywając po raz wtóry postrzeżenia, poczynione już dawniej przez romantyków niemieckich, przez ich krewniaków francuskich (*Maine de Biran*, *Ravaisan* i in.) i z drugiej strony przez utylitarystów angielskich.

Rzecz prosta, że nie sposób stworzyć jakiegokolwiek całokształtu filozoficznego z rzeczy i spostrzeżeń absolutnie nowych, i prosta również, że myśl ludzka zdobywała już dawniej przed pragmatyzmem i kładła materiał, tworzyła plany i pod-

prof. Bujak, człowiek bliski stronnictwom klerykalnym, a więc już chociażby z tego tytułu nie mogący być pomawianym o filosemityzm. Jeżeli zaś chodzi o zadanie spolszczenia miasta, którem się zajęła specjalna instytucja, zwana Ligą Spolszczenia Miast, zarządzająca od czasu do czasu zebrania z podjudzającymi przeciw żydom mowami, to przedsięwzięcie tego rodzaju w mieście, w którym przy spisie ludności 95% przynależało do narodowości polskiej, jest zaiste ciekawem. Bo przecież statystyki wyznaniowej (według której żydów jest w całej Galicji 11%, zaś w Krakowie 22%) niepodobna brać w rachubę, zwłaszcza że jest rzeczą stwierdzoną, iż znaczna część ludności żydowskiej uważa się naprawdę za Polaków, wpływy zaś sjonistów są nadzwyczaj nikłe.

Pomimo to, blok, złożony z chrześcijańskich demokratów i narodowych demokratów, żywi nadzieję, że na koniku antysemitycznym wjedzie tryumfalnie do Krakowa. Nadzieje te są zwodnicze, gdyż malkontenci składają się wyłącznie z inteligencji, szeroki ogół mieszczaństwa krakowskiego wcale ich nie popiera i świeci nieobecnością na ich krzykliwych, demagogicznych wiecach; a następnie także i z tego powodu, że cała maszyna wyborcza znajduje się w rękach Lea, który łatwo z rąk władzy sobie wydrzeć nie da. Skończy się zatem na fałszywym apetycie.

Błędy demokratów jednak dają łatwo broń do ręki przeciwnikom. Zarząd miasta nie chce się zupełnie liczyć z przywiązaniem ludności do starych tradycji miejskich, a już chociażby z właściwym każdemu cywilizowanemu człowiekowi poczuciem potrzeby szanowania zabytków dawnej architektury. Ginie stary Kraków: na miejscu odwiecznych, przemawiających głosem przeszłości kamienic powstają nowe domy, budowane w stylu, na którego widok załamują się ręce z rozpacz. Nawet Rynku głównego, któremu równego niema, prócz placu św. Marka, w Europie nie oszczędzają wandal, lecz zabierają się doń z oskardem, tak że już dzisiaj w znacznym stopniu zatracił swój pierwotny charakter. Jeżeli tak dalej pójdzie, to, jak dowodzą nie bez słuszności niektórzy, wkrótce Kraków będzie się różnił od Katowic tylko błotem na ulicach, którego w Katowicach niema.

Ostateczną pobudką do ataku jest zamierzone zniesienie starego, pełnego historycznych pamiątek gmachu, znanego pod nazwą „Krzysztoforów”. Gmach ten jest w posiadaniu kupca Bazes, który chce na jego miejsce postawić wielki hotel kilkupiętrowy, uważając snąc, że dla podobnej budowli jest miejsce na starożytnym Rynku. Zdaje się, że pomimo głośnego protestu wielu instytucji, Krzysztoforów nic nie ocali, ponieważ Bazes, mający w swych rękach wielu kupców i przemysłowców, uważany jest za pana całego Krakowa, i ogólnie panuje o nim mniemanie, że nawet Leo mu nie zdzierży. Padną więc Krzysztoforów, a przeciwnicy magistratu zdają się już z tym faktem niecofnionym godzić, domagając się tylko wzamian głowy Lea.

Mimo, że w sprawie ratowania dawnego Krakowa, przeciwnicy demokracji mieszczańskiej mają najzupełniejszą słuszność, nikt po za sfanatyzowanym obozem ich popleczników, nie życzy im zwycięstwa. Zachodzi bowiem obawa rządów klerykalnych w mieście, przy których, być może, zabytki sztuki będą uszanowane, ale zagrożony będzie poważnie cały dorobek dzisiejszej niezależnej od kleru kultury, która tym żywiołom oddawna jest solą w oku.

Jakikolwiek będzie rezultat wyborów, którego wszyscy z upragnieniem oczekują, jedno jest pewnem, a mianowicie: że wkrótce rada miejska przystąpi do reformy statutu miejskiego i ordynacji wyborczej. Dopuszczenie szerszych mas do udziału w akcie wyborczym położy z jednej strony kres ciągle uprawianemu systemowi przekupstw i oszustw wyborczych, a z drugiej da rękojmię, że żywiły, które wejdą do zreformowanej rady, będą umiały pogodzić zasadę poszanowania zabytków z wymaganiami życia.

Wśród nastrojów przedwyborczych przeszła bez należytego wrażenia śmierć człowieka, który w ostatnich latach silnie był związany z życiem duchowem Krakowa; nie tego Krakowa jednak, który niszczy mury i kłóci się o mandaty, lecz tego, który snuje nieprzerwaną nić twórczej myśli. Umarł B. A. Jędrzejowski, kierownik spółki nakładowej „Książka”, znanej z wydania wielu cennych dzieł Żeromskiego, Sieńkowskiego i Struga. Jędrzejowski, który sam pisy-

stawy dla jego budowy. Ale dopiero pragmatyzm, — znowu nie, jako zamknięta nauka jednego człowieka, ale jako prąd, — usiłuje wytknąć istotne koryta myśli i życia, oparty właśnie na bogactwie doświadczeń minionych, ustala stosunki pomiędzy „płaszczyną marzenia” i „płaszczyną czynu” poprzez wszystkie pośrednie „płaszczyny świadomości”.

Drommard w książce „marzenie i czyn”, nazywa pragmatyzm „neopozytywizmem”, niezbyt zresztą głęboko dowodząc tej tezy swojej; przygotowanie filozoficzne Drommarda nie pozwala mu na dokładniejszą analizę takiego zestawienia, ale zestawienie jest znamienne.

Widzieliśmy wyżej, że istotna przyczyna walki pomiędzy romantyzmem i pozytywizmem nie leżała w założeniu najpierwszem, bo to było raczej wspólne; leżała w pojmowaniu dróg, środków, wykonania tych wspólnych zamierzeń. Myśl filozoficzna dała kierunek; ludzie, życie pochwyliło te wskazania i poszło za niemi poto, żeby się rozbiegło w otwrotnych kierunkach — aż do karykatury. Karykatura ta, często i w rozmaity sposób wyzyskiwana, doprowadzi do Don-Kichota dla romantyków, a do czło-

wieka „w dobrze skrojonym fraku” dla pozytywistów (francuzi nazywają takich *arriviste*).

Od chwili, kiedy się te dwa prądy tak dalece rozbiegły, straciły one całą swoją wartość pragmatyczną, musiała nastąpić odnowa. Zaczęto mówić o neoromantyzmie i neopozytywizmie.

Tylko znowu nie należy mniemać, aby neoromantyzm polegał na „wśniwaniu się w przeszłość”, „kochaniu się w trumnach” lub „wśluchiowaniu w tętent od Wawelu” — a neopozytywizm na amerykańzowaniu „Szelągów”, wyśmiewaniu się z „Pollaczków”, bo jedno i drugie nie jest bynajmniej żadnym neo: nie wnosi nic nowego, a jest dawno już znaną karykaturą. Tak samo wyszydzona ze łzami przez Wyspiańskiego gromada weselników jest donkichotową karykaturą romantyzmu, jak w ubóstwie ducha wyidealizowany amerykański Szeląg Nowaczyńskiego jest idealizowaniem karykatury człowieka w dobrze skrojonym fraku.

Oczywista, nie na tych polach będziemy szukali plonu, nie te żagwie będą nam świeciły w pomroce.

Może pójdziemy po światło na zachód, do Ameryki, tylko nie do Szelągów, lecz do James'ów

wał wiele popularnych prac społecznych pod imieniem „Baja“ (B. A. J.), był typem emigranta z lat 90-tych ubiegłego stulecia i miał w sobie wiele cech emigracji tej epoki: wytrwałość, moc charakteru, stałość przekonań. Te cechy sprawiły, że wielu ludzi, nie mogących się ze zmarłym pogodzić co do przekonań, politycznych oddawało hołd jego zasługom. Osobno hołd złożyli literaci (jak M. hr. Walewska), podnosząc w artykułach życzliwy, pełen zrozumienia dla sztuki polskiej i jej zadań społecznych stosunek zmarłego do artystów, z którymi wypadło mu mieć do czynienia.

J. Krzesławski.

Kształcenie polityczne „Obywatela“*).

(Z doświadczeń anglo-amerykańskich).

W r. 1807 dyskutowano w parlamencie nad projektem do prawa Whitbread'a, żądającego zaprowadzenia oświaty elementarnej. Zpóźród przeciwników *billu* — z ław najmniej reakcyjnych — odezwał się głos Windhama: „Nie należy ułatwiać ludowi zdobywania wiedzy; te ułatwienia zaprowadziłyby do zajmowania się polityką i uczyniłyby go dostępnym dla machinacji intrygantów (*Hansard IX*, 548). Nawet wigowie, aczkolwiek niektórzy z pośród nich pragnęli — teoretycznie — oświecenia mas pod względem politycznym, nic praktycznie w tym kierunku nie czynili. Lord Brougham pisał w r. 1825: „Dlaczegożby nie ogłaszać dzieł politycznych w tanich wydaniach?... Wszak w interesie społeczeństwa leży, aby rzeczywiste zasady konstytucji świeckiej i kościelnej były dobrze zrozumiane przez każdego, kto żyje pod jej rządem (*Observations upon the education of the people*,

*) Ob. artykuły w „Przegl. Wil.“, drukowane w grudniu 1913 roku.

Ward'ów i im pokrewnych; może do zfrancuziałego żyda Bergsona, czy ja wiem? Może będziemy słuchali głosu ich wszystkich i szukali w nich pokrewnej nuty, którą zresztą tak łatwo odnaleźć?..

Cokolwiek będziemy robili, jakkolwiek wybierzemy z tych dróg, dojdziemy w końcu do stwierdzenia, że przedmiotem, treścią i zadaniem filozofji jest człowiek, a zadaniem i treścią człowieka jest czyn społeczny. A czyn społeczny to: *świadomie ku poznaniu lub wymarzonemu celowi zmierzająca wola w działaniu uzewnętrziona.*

A może po zagiew tę nie trzeba chodzić aż tak daleko? Może ona jest tutaj, u nas; może ją zapalił już dawno duch polski, a coraz potrząsał jakiś z polskich filozofów, czy proroków?

Cytowałem już Cieszkowskiego i Trentowskiego; cytowałem Mickiewicza; myślę, że nie trudno będzie nam znaleźć blaski tej samej pochodni u Krasińskiego i Słowackiego, u Norwida i Wyspiańskiego, — może to jest właśnie ta sama, o której mówi Konrad w „Wyzwoleniu“, a ślepy z tą pochodnią w rękę „na czyn, na czyn“ woła:

— Cóż to? poezja?

— A tak, poezja.

Bo wyraz grecki „*pojejn*“ tak samo dobrze jak „*pragma*“ — oznacza działanie, czynienie, stwarza-

1825, str. 45). Minęło lat trzydzieści — i Lord Aberdeen w liście do Crokera pisał: „Należy szerzyć wiedzę za pomocą wszystkich dostępnych nam środków, a wtenczas będziemy mogli przekazać ludowi z większym bezpieczeństwem zarząd jego interesów“. Mija znów lat 12 i w r. 1867 Robert Lowe wypowiada słynne, powagę przysłowia posiadające, słowa: „*Trzeba nam uczyć panów naszych*“ (*Now we shall have to educate our masters*).

Trzy razy w ciągu zeszłego stulecia demokratyzowała Anglja swoje instytucje polityczne. Trzy razy rozszerzano w kierunku udziału mas prawo wyborcze. Partje polityczne trzykrotnie miały sposobność gwałtownego rozciągania obrczy swoich wpływów. Umysły głębsze, z wyższego nieco i racjonalniejszego stanowiska oceniające sytuację, sięgające nieco dalej w przyszłość, niż ci, którym tylko i jedynie o głosy wyborców chodziło, wnet po drugiej reformie około r. 1868 utworzyły „Ligę oświaty politycznej robotników“. Rozszerzona w kierunku „oświaty społecznej“ pod wodzą kilku profesorów uniwersytetu, rozwinęła działalność, mającą na celu „budowanie opinii publicznej w kwestjach polityki, rządu, w sprawach rolnych, kapitału i pracy, finansów, kolonji, w kwestjach ogólnie krajowych na podstawach historii, nauki społecznej i filozofji politycznej“. Liga zastrzega, że nie popiera żadnej partji i nie zajmuje się propagandą jakiegokolwiek politycznego kierunku. Jej celem jest — szerzenie *kultury politycznej*. Głównym środkiem jej działalności są wykłady, które w jej imieniu darmo miewają uczeni, sprawie spółczujący (przeważnie związani z uniwersytetem w Oxfordzie i w Cambridge). Słuchacze mogą zadawać wykładającym pytania i wywoływać dyskusję, w której mogą uczestniczyć osoby, należące do różnych partji.

Jak widzimy, program nie pozostawia nic do życzenia. Inaczej rzecz się przedstawi, gdy zapytamy o rezultaty. Rezultaty są dosyć ubogie. Liga nie posiada środków, siły naukowe garną się do niej ską-

nie. Bo wreszcie poezja—to jest często ten most, po którym poczucie niezbędności tworzenia z wyżyn rozumowania przenosi się do świadomości społecznej. Bo to jest jedna z wielkich gałęzi filozofji pragmatycznej.

A kiedy Mickiewicz wołał: „ja bym mój naród jak pieśń żywą stworzył“, to zakładał te cele, które my dziś, mądrzy doświadczeniem i teorjami filozofji pragmatycznej (u nas zresztą nie nowej), za cele i zadania życia i myśli, filozofji i czynu kładziemy.

W filozofji spełnia się dziś prorocstwo Cieszkowskiego o trzeciej epoce świata, kiedy filozofja postawi sobie za zadanie „*rozwiniecie prawdy w najkonkretniejszą czynność*“. — Czy nazwiecie to neoromantyzmem, czy neopozytywizmem — wszystko jedno.

Przed filozofem, a nietylko przed nim, przed każdym człowiekiem stawiane jest zadanie, stać się filozofem czynu, albo — co znaczy toż samo — stać się poetą — twórcą życia.

Twórzmy więc, aż naród nasz, jak pieśń żywą stworzymy.

To jest prawdziwy pragmatyzm i prawdziwa poezja.

KONIEC.

po, audytorjami nie rozporządza w liczbie pokaźnej. Partje polityczne zagarniają w swoje ręce wszystko: pieniądze, profesorów, publiczność. Ilość wykładów, urządzonych przez Ligę, nie przekroczyła ani razu cyfry 600, często wynosiła 50 rocznie. Liga nie wychodzi po za przedmieścia Londynu; nic dziwnego, gdy rozporządza budżetem, nie przekraczającym 1000 rubli rocznie. Cóż począć z tak ubogim budżetem? Profesorom płacić nie może, lokalów najmować również. Skazana jest na pomoc darmo nauczycieli „dobrej woli“, korzystac musi z mieszkań, ofiarowywanych przez różne instytucje religijne, społeczne, ekonomiczne. Te nie zawsze łaskawem okiem spoglądają na zapoczątkowania Ligi. Często boją się spóławodnictwa, boją się także propagandy „naukowej“ polityki, która szerzy sceptycyzm i odbiera wiarę w dogmaty, propagowane przez partje polityczne. Ponimo, że na czele Ligi stali przez długie lata najznakomitsi uczeni angielscy (Bryce, Dicey, Froude, Gardiner, Harrison, Huxley, Seeley, Leslie-Stephen), rezultaty ich pracy nie odpowiadały zamierzeniom i wysiłkom. Rzecz może najciekawsza, że pomimo wszelkich zastrzeżeń statutowych, Liga nie była wolna od zarzutu propagandy politycznej. Darma pomoc nauczycielska miała i tę złą stronę, że nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na treść wykładów. Nauczyciele zaczęli korzystać z firmy Ligi bezpartyjnej i politycznie neutralnej dla propagandy pewnych określonych wierzeń politycznych tak dalece, że w r. 1886 prezydium Ligi dokonało oczyszczenia jej szeregów z żywołów „partyjnych“ i zażądało od nauczycieli deklaracji piśmiennej, że nie będą prowadzili wykładów w duchu pewnej określonej partji.

Źle byłoby bardzo z kulturą polityczną mas angielskich, gdyby dbała o nią jedna tylko „Social and political Educational League“. Poszukamy innych jeszcze instytucji. Należą tutaj t. zw. Instytuty mechaniczne, techniczne (*Mechanics Institutes*), które na równi z uniwersytetami dla wszystkich (*University Extension*) i „stowarzyszeniami czytelnianemi“ (*Reading Unions*) urządzają wieczorne wykłady, między innymi, i w zakresie nauk politycznych. Istnieją także „stowarzyszenia doskonalenia się wzajemnego“ (*Mutual Improvement Societies*), powołane do życia przez kościół i sekty, i związane z organizacją parafji angielskiej; i w tych stowarzyszeniach kościół angielski, który nie przestaje tak w zakresie czysto-świeckiej nauki, jak potrzeb życia materialnego organizować parafjan swoich — odbywają się, oczywiście, *ad usum Delphini* wykłady z zakresu nauki politycznej. Szukajmy jeszcze!

Oto mamy cały szereg „stowarzyszeń dyskusyjnych“ (*Debating Societies*). Liczą sto kilkanaście lat istnienia. Pierwotnie uczyli się w nich mówić publicznie przedstawiciele rwącej się do władzy politycznej burżuazji. Wraz z reformą polityczną, obejmującą coraz szersze warstwy narodu angielskiego, stowarzyszenia dyskusyjne zaczęła zakładać i klasa robotnicza. Niema sportu duchowego, któryby bardziej odpowiadał umysłowości angielskiej niż dyskusja. Debatować — to znaczy walczyć, myśl o dyskusji podnieca wyobraźnię, przyspiesza obieg krwi w żyłach; jest to ten sam sport boksowania, wywołujący nie tylko w uczestnikach ale i w widzach wzruszenia silne, krwawe. Oberżyci urządzają po miasteczkach podczas jarmarku debaty polityczne czy religijne, przy czem główny *debatter*, zagajający zebranie, otrzymuje pięć szylingów. W wielkiej fabryce czy w wielkim domu handlowym, gdzie pracują znaczniejsze zbioro-

wiska ludzi, tworzą oni zpośród siebie nie tylko klub szachistów albo lawn-tennisistów ale i *Debating Societies*. Przeważnie jednak stowarzyszenia te istnieją, jako niezależne instytucje i w lokalach tych stowarzyszeń urządzają się „noce polityczne“, to znaczy wieczory, poświęcone dyskusji politycznej. „*Debating Societies*“ powołały do życia bardzo ciekawą instytucję, nigdzie nie znaną po za Anglią, tylko w starej ojczyźnie wolności politycznej i parlamentu: parlamenty miejscowe (*local parliaments*). Tak nazywają stowarzyszenia dyskusyjne, specjalnie uprawiające dyskusję polityczną i prowadzące tę dyskusję według tradycji, zwyczajów i regulaminu Izby Gmin. Cała scenerja dokładnie odtwarza wzory parlamentu angielskiego. Członkowie dzielą się na partje, wybierają swoich leaderów. Gabinet ministrów, mianowanych zpośród członków, jest wobec parlamentu odpowiedzialny. Sesja otwiera się przez odczytanie orędzia, zawierającego projekty praw, które w ciągu sesji przedstawione będą. Nie sądźmy, że to jest zabawa tylko młodych ludzi. Na ławach parlamentu lokalnego widzieć można ludzi dojrzałych i starców siwobrodych. Jeden z pisarzy politycznych, który obserwował organizację parlamentu lokalnego, widział na ławie ministrów z parlamentu West End'u londyńskiego: kuzyna królowej angielskiej, oficera marynarki, który tam sprawował obowiązki pierwszego lorda admiralicji (ministra marynarki); w innym parlamencie szewc był ministrem wojny. Stosownie do zwyczajów Izby Gmin, członkowie parlamentu lokalnego interpelują ministrów, zgłaszają mocje i projekty uchwał, składają projekty praw, dobatują, napadają i odpierają pociski, korzystają ze wszelkich sposobów walki parlamentarnej: z logiki, sarkazmu, oburzenia, wzgardy.

Parlament lokalny posiada, jeżeli chodzi o kształcenie polityczne — wiele wad. Nie wpływa na pogłębienie świadomości politycznej; członkowie zapożyczają u wybitnych parlamentarzystów Westminsteru gotowe już nie tylko giesty polityczne, ale i gotowe rozwiązanie zagadnień politycznych. Przytem naśladowanie tych wzorów wybitnie indywidualnych, przeniesione z wielkiej areny świata na drobną scenkę przedmieścia, wyradza się w rękach druzgodnego aktora w karykaturę. Zarzuty łatwe i zrozumiałe i nie bezpodstawne. Jednak nie ulega wątpliwości, że znaczenie dyskusji w parlamentach lokalnych jest wcale poważne. Członkowie, którzy chcą uczestniczyć w dyskusji, muszą zaznajomić się poważniej i zbliżyć z tematami, dyskutowanymi w parlamencie, muszą obmyślać swoje stanowiska w krzyżowym ogniu, muszą formułować i systematyzować argumenty z jednej i z drugiej strony. Człowiek, który chce być „czemś“, chce zwrócić na siebie uwagę spółczłonków i w szczególności galerji — nie może nie posiadać elementarnego chociażby wykształcenia politycznego. Z takich parlamentów wychodzą i w takich parlamentach kształcą się przyszli mówcy na mityngach politycznych angielskich. Parlamenty lokalne w r. 1892 utworzyły swój związek (*National Association of local Parliaments*).

Stan nauki historii i polityki w szkołach amerykańskich był dawniej bardzo zaniedbany i dziś jeszcze pozostawia wiele do życzenia. Należy pod tym względem odróżniać szkolnictwo wyższe od średniego i niższego. W szkołach wyższych ostatnie lat kilkanaście wprowadziły znaczne zmiany na lepsze*). Już

*) Posner. Nauki społeczne w szkole wyższej (W. 1905), rozdział o uniwersytetach amerykańskich.

dzisiaj nie mógłby, jak w r. 1890, pisać prezydent *Columbia College*: „Nasze wyższe szkoły zaniedbały zupełnie niemal pouczać młodych ludzi o zasadach i charakterze rządu, pod którym żyć i w którym uczestniczyć będą, o obowiązkach, które na nich, jako na obywatelach, spoczywają. Zajęto się skwapliwie wszelkimi innymi gałęziami nauki i kultury. Uczono dużo o właściwościach materji, zamało atoli o namietnościach ludzkich; wiele o perturbacjach planet, zbyt mało o agitacji stronnictw politycznych; wiele o układzie (konstytucji) systemu słonecznego, zaś nader mało o konstytucji Stanów Zjednoczonych... W rzeczy samej nauczanie w szkołach naszych jest obecnie tak dalekiem od przygotowania młodych ludzi do najważniejszych (w naszych warunkach politycznych) obowiązków ich życia, że wydaje się, jak gdyby one rozmyślnie to czyniły“ *).

Dość przejrzeć grube książki, zawierające programy i sylabusy wykładów w uniwersytetach amerykańskich, aby przekonać się, że stan nauczania w zakresie materji politycznych zmienił się do niepoznania. Dotyczy to jednak szkół wyższych. W szkole średniej, a w szczególności w szkole niższej (elementarnej) postęp jest i dotychczas bardzo mały. W szkole średniej nauka historii nie zajmuje tego stanowiska, jakie posiada w szkołach średnich starego świata, w szkołach niższych uczą tylko w ostatnich latach historii amerykańskiej i doprowadzają jej naukę do prezydentury Waszyngtona. W szkole elementarnej uczeń nie ma sposobności dowiedzieć się, jak jego ojczyzna jest rządzona, kto ustawy układa, kto rządzi miastem jego rodzinnem, chyba, że uda mu się pobyć w szkole średniej (*high-school*), której program obejmuje kurs organizacji politycznej kraju. Jednak niewielki tylko procent dzieci amerykańskich uczęszcza do szkół średnich. W r. 1896—7 uczyło się w szkołach amerykańskich 16 1/4 miliona dzieci, z tych milionów do szkół średnich uczęszczało 585 tysięcy, do szkół wyższych 218 tysięcy; piętnaście i pół miliona dzieci kończyło naukę szkolną w szkółce elementarnej, to znaczy nie otrzymuje żadnego wykształcenia w przedmiotach politycznych. Są to przecież przyszli wyborcy; od ich kartek wyborczych zależą losy kraju. Oni wybierają prawodawców, którzy w ich imieniu rządzić będą Stanami Zjednoczonymi. Oczywiście, organizacja polityczna Stanów sprawia, że w życiu późniejszym ten wyborca otrzymuje niejakie pojęcie o ustroju politycznym kraju i w swoich prawach z łaski i przy udziale partji politycznych, rządzących w imieniu obywateli rzeczpospolitą amerykańską. Pojęcia jednak polityczne, wprowadzone do świadomości wyborców przez agitatorów amerykańskich, w dalekim tylko znajdują się związku z poznaniem rzetelnem i umiejętnem. To jest nauka polityczna *ad usum* ludowego Delfina, przyrządzona w kuchni — jak mówią w Ameryce — demagogów. Już oddawna, od wielu dziesięcioleci publicyści amerykańscy i europejscy biadają nad upadkiem, rozkładem życia politycznego pod wpływem rządów despotycznych kilku partji, które sobie co lat parę kosztem cierpliwych, a więcej jeszcze nieświadomych wyborców wydzierają władzę polityczną **). Nie będziemy

* F. Barnard. The degradation of our politics (miesięcznik „Forum“ z kwietnia 1890 r.).

** Pod tym względem opinja wszystkich badaczy jest zgodna. Tocqueville (*La Democratie en Amerique*), Bryce (*The American Commonwealth*), Boutmy (*Psychologie du peuple americain*), Ostrogorski (*La Democratie des partis politiques*, t. II) — wypowiadają na przestrzeni lat 70 ten sam pogląd na dezorganizację życia politycznego przez partje.

tedy literackich sposobów agitowania mas amerykańskich uważali za szkołę, w której doświadczony nauczyciel uczy poznania politycznego. Zawsze jednak te sposoby są dla nas w szczególności, którzy budzimy się dopiero do żywszego życia politycznego, bardzo ciekawe i warto im parę wierszy poświęcić.

Pomijamy agitację ustną, prowadzoną przez zawodowców przedziwnie pod względem nakładu kosztów, celowości, ekonomji — zorganizowaną; pomijamy prasę, do której racjonalnej i moralnej miary przykładać nie można, do której nawet europejskiej miary przykładać nie należy; zwrócimy uwagę tylko na literaturę ulotną. Literatura ta składa się z broszur, z lotników (jak się kiedyś w tytule pięknej książeczki wyraził Lelewel), plakatów i t. p. W każdej dzielnicy miasta amerykańskiego znajduje się „biuro literackie“, w którym doświadczeni, a niekiedy i wybitni pisarze układają pisma ulotne, uświadamiające obywateli pod względem pojęć i osób politycznych. Pisma te bywają najczęściej rozsyłane jako mowy, wygłoszone w kongresie (parlamencie amerykańskim). Cel jest jasny: chodzi po pierwsze o zmniejszenie kosztów przesyłki (korespondencja ze stemplem „Kongres“ wolna jest od porta pocztowego) — oszczędność olbrzymia; po drugie literatura, która do zapadłych kątów wiejskich przychodzi pod firmą urzędową kongresu, w wielkiej żółtej kopercie waszyngtońskiej — wywiera urok znacznie większy, niż gdyby była rozdawana tak samo darmo na miejscu. Przeważnie jest to literatura okolicznościowa, związana z dyskusją w parlamencie na tematy różnicujące partje polityczne. Znaczenie tej literatury jest efemeryczne: nie wyjaśnia. Jednostronnie bowiem tylko, celowo i w pewnym określonym interesie tłumaczy zjawiska życia politycznego albo społecznego. Jej wartość naukowa jest znikoma. Nie mamy powodu zajmować się nią dłużej na tem miejscu.

Stanisław Posner.

Z wrażeń szwajcarskich.

BAZYLEJA.

(Stare miasto. Katedra. Pobyt Holbeina w Bazylei).

Zmęczony długą podróżą, staję o świcie w Bazylei. Mijam z pośpiechem nowe dzielnice. Wchodzę naraz w labirynt wązkich, krętych uliczek, pnących się pod górę. Na prawo i lewo stare, poważne, jakby zadumane w swojej przeszłości, kamienice o drzwiach misternie rzeźbionych, z otworów których wyglądają sklepione, tajemnicze kurytarze. Co moment jakiś szczegół charakterystyczny przyciąga uwagę. Wobecczesnej pory ruch prawie żaden; hałas budzącego się miasta, dolatując w te stare uliczki, wywołuje szmer cichy, który zda się być skargą tych murów — świadków przeszłości kipiącej walką i sławą na szarość dnia dzisiejszego, na zapomnienie i nieuszanowanie ich szat, piętno wieków noszących.

Docieram do katedry, będącej dziełem kilku pokoleń, które z takim wdziękiem umiały połączyć styl romański z gotykiem. Zbudowana na wyniosłości panuje nad miastem; za nią — brzeg urwisty Renu, majestatycznie toczącego swe wody szmaragdowe.

Na widok katedry myśl przenosi się w czasy

słynnego Koncylium, w którego burzliwych rozprawach odbija się jaskrawo społeczna epoka.

Wchodzę wewnątrz. Chłodem i pustką powiało z pomroku. Burza reformacji, przelatując przez nawy, ogołociła mury i poniszczyła obrazy. Uwagę moją przyciąga płyta marmurowa, u dołu której widnieje jedyne słowo, tak proste, a pełne treści — *Terminus*. Jest to grób Erazma z Rotterdamu.

Czasy pobytu wielkiego Humanisty łączą się z rozgłosem sławy przybysza z Augsburga, mistrza sztuki niemieckiej Holbeina młodszego, którego dzieła mieści muzeum tutejsze. Ono też stanowi cel mojej podróży.

Czem dla Dürera była Norymberga, tem jest Bazyleja dla Holbeina. Urodzony w Augsburgu w ostatnich latach wieku XV-tego, kształcił się pod kierunkiem swego ojca Holbeina starszego, malarza, cieszącego się dość dużym uznaniem, niestety uznaniem tylko platonicznym.

Zajmując pod względem bogactwa jedno z pierwszych miejsc w Niemczech, Augsburg nie potrafił jednak wytworzyć środowiska, w którym sztuka mogłaby swobodnie i w całej pełni się rozwijać. Sztuka, to delikatna roślina, zawsze potrzebowała i potrzebuje opieki; ginie otoczona obojętnością. Niestety, Niemcy warunków, sprzyjających sztuce, wytworzyć nie mogli; nie było ich stać na to w czasach, w których kulturę reprezentowała wyłącznie arystokracja, w czasach mecenasów, jakimi gdzieindziej byli Leon X, Wawrzyniec Medici lub Franciszek I. Tu w najlepszym razie mecenasem był zbogacony mieszczuch, parwenjusz, odznaczający się brakiem subtelności duchowej. I podczas gdy Włochy lub Francja wytwarzają sztukę wyrafinowaną o piętnie arystokratycznym, — sztuka Niemiec traci gminem, jest wyrazem mieszczactwa.

Warunki społeczne artystów niemieckich były wówczas bardzo skromne. Łukasz Cranach, nie mogąc wyżyć się ze swojej sztuki, zmuszony jest założyć sklepik aptekarski. Dürer, na myśl, że będzie musiał pożegnać słoneczne Włochy, by wrócić do szarych Niemiec, pisze pełen smutku: „W Wenecji jestem panem, gdy w Norymberdze będę biedakiem“.

Oto w jakich warunkach pracował Holbein starszy, tocząc z nędzą walkę ustawiczną. Chcąc zgotować synowi lepszą przyszłość, młodym chłopcem wysłał go w świat. Opuszcza więc Holbein swoją niewdzięczną ojczyznę, by już do niej nigdy nie wrócić.

Po krótkim pobycie w Konstancji i zaznaczeniu swego pobytu w Rickenbach pozostawieniem Madonny, swojej pierwszej pracy nam znanej, przybywa w r. 1515 do Bazylei, gdzie ma spędzić duży kawał życia.

Wybór lepiej nie mógł być dokonany, gdyż stare miasto cesarskie, od niedawna wchodzące w skład Konfederacji szwajckrskiej, dostarczało artyście dużo powodów do zamianifestowania i rozwinięcia talentu.

Położona na skrzyżowaniu dróg z Włoch, Francji i Niemiec, a zabezpieczona dzięki wspomnianemu sojuszowi przeciwko wszelkim niespodziankom tych czasów niespokojnych, rozwija się i bogaci Bazyleja, stając się centrem życia umysłowego, które szerokimi falami rozlewa się po kraju. Rozwojowi umysłowemu towarzyszy rozwój przemysłu drukarskiego, który nie mógł obejść się bez spółdziałania sztuki. Ten wzgląd właśnie, obiecując łatwy zarobek, musiał wpłynąć na Holbeina w wyborze miejsca osiedlenia się.

Pierwsze czasy nie były jednak lekkie. Oto przy-

szły mistrz malarstwa zmuszony jest przyjmować najmarniejsze obstalunki. Dzięki jednak nadzwyczajnym zdolnościom, zdobywa sobie pracę, a z nią i sympatię drukarza Hansa Frobenia. W jego domu spotyka się Holbein z Erazmem, którego przyjaźń towarzyszyć mu będzie przez całe życie.

Dzięki tak mocnej opiece, stanowisko jego odtąd jest zapewnione. Sława rośnie, a rozgłos jej odbija się w miastach sąsiednich, zaś mieszczaństwo bazylejskie zasypuje go obstalunkami portretów, obrazów religijnych, fresków, rysunków etc. etc. Ze wzrostem działalności, rośnie i jego zamożność. W tym czasie maluje wspaniały portret Bonifacego Amerbacha, serję portretów Erazma, zdobi rysunkami jego dzieło *Encomium Moriae*, maluje słynny obraz „Śmierć Chrystusa“, którego naturalizm grozą przejmuje widza. Na zamówienie burmistrza Meyera tworzy słynną Madonnę, znaną pod nazwą „Madonny Meyera“, następnie komponuje cały cykl wspólnych drzeworytów na temat popularny a drogi ludziom średniowiecza, jakimi są „Zjawiska śmierci“ (Taniec śmierci).

Tej działalności tak płodnej a wszechstronnej stanie na drodze ruch, który już od kilku lat zaczyna kiełkować w Bazylei, dzieląc miasto na dwa wrogie sobie obozy. Ruch ten — to Reformacja, która wstępując zwycięsko w mury miasta, kładzie kres rozwojowi sztuki, rozpoczynając walkę z obrazami. Następuje „oczyszczanie“ kościołów. Za terorem religijnym idzie terror polityczny, wybuchają rozruchy chłopskie. Na domiar przychodzi głód, zaraza. Nastają dla artysty czasy gorsze, aniżeli kiedyś w domu rodzicielskim, czasy, kiedy Holbein w braku środków zmuszony jest malować szyldy na gmachach publicznych. Z ratunkiem przychodzi mu Erazm, dając listy polecające do Tomasza More, angielskiego męża stanu i uczonego, który niebawem miał zostać lordem — kanclerzem Henryka VIII.

Jesienią 1526 r. Holbein porzuca Bazyleję kierując się do Londynu, gdzie się będzie specjalizował w portrecie. Niedługo jednak trwa jego pobyt w Londynie. Po dwóch niespełna latach, stęskniony, wraca do Bazylei.

W czasie jego nieobecności zaszły tu zmiany radykalne. Walka i nienawiść religijna jeszcze się bardziej wzmogły, klasztory zostały pozamykane, kościoły z dzieł sztuki „oczyszczone“, książka w podejrzaniu, ludność załęczniona. W roku następnym Holbein jest świadkiem zaburzeń obrazoburczych. Władze miejskie w ucieczce. Erazm zniechęcony okropnymi stosunkami przenosi się do Fryburga w Bryzgowji. Holbein wytrzymuje te podmuchy szalejącej burzy i z energią zabiera się do przerwanej od 8-miu lat pracy nad dekoracją ratusza. W tym czasie maluje portret swojej żony z dwojgiem dzieci — jedno ze swoich arcydzieł, z posiadania którego szczyci się muzeum bazylejskie. Wkrótce jednak, wobec coraz bardziej wzmagającej się zawieruchy i wywołanego przez to ogólnego kryzysu — traci resztę zamówień. Artysta widzi ratunek tylko w nowej emigracji. Na wezwanie więc Tomasza More, który stanął teraz u szczytu władzy, jedzie do Londynu. Zły los go jednak przesładowuje. Zanim stanie na ziemi angielskiej, jego mocny protektor popadnie w niełaszkę, zagrożony śmiercią, a wszelkie z nim stosunki staną się niebezpieczne. Pomimo zawodu, jaki go spotyka, nie bacząc na wezwanie rady bazylejskiej do powrotu, — zostaje Holbein w Londynie, ufny w moc swojej sztuki. I ta go nie zawodzi. Odtąd będzie mu torowała drogę do

najwyższych szczytów sławy. Od pracy u kupiectwa niemieckiego, zgrupowanego na brzegu Tamizy w Stahlhofie zawiedzie go na podwoje zamku królewskiego, gdzie, jako malarz króla Henryka VIII, zostanie aż do śmierci.

W tym czasie jeszcze raz go miała ujrzeć Bazyleja. Oto po szczęśliwym wywiązaniu się z misji pofornej, jaką go w r. 1538 obarczył Henryk VIII, hojnie nagrodzony, otrzymuje Holbein pozwolenie na powrót do Bazylei.

W jakże odmiennych warunkach wita go stare miasto! Malarz króleski, w jedwab i aksamit ubrany, szacunkiem i podziwem jest otoczony. Na jego cześć organizują bankiety i przyjęcia. Rada miasta, pragnąc go zatrzymać, nie waha się przed żadnymi ofiarami; proponuje mu kontrakt, pełen najwspanialszych obietnic. Pomimo znacznej pensji, pozwala mu rada przyjmować obstatunki od dworów i miast cudzoziemskich; zgadza się na kilkakrotne wciągu roku wyjazdy za granicę etc. etc. Przyparty do muru, zgadza się Holbein na te warunki, żądając dwuletniej zwłoki na zerwanie z Londynem. Rada miasta i na to przystaje, co więcej—wyznacza roczną pensję jego żonie, w czasie nieobecności Holbeina.

Wciągu trzech lat cieszy się Bazyleja nadzieją zwycięstwa nad szczęśliwszym rywalem i oczekuje powrotu Holbeina. Dopiero śmierć przedwczesna mistrza, która nastąpiła w 1543 r. kładzie kres tym oczekiwaniom, godząc dwa spółzawodniczące miasta.

Bazyleja, wierna pamięci swego syna adoptowanego, stworzyła dla niego kult, który po przez wieki trwa dotąd i dzięki któremu można ją zaliczyć do świętych miejsc sztuki.

Stanisław Dąbrowski.

Z CYKLU „SYMBOLE“.

Wędrowiec.

— *Dlaczego idziesz w głuchą noc i parów?
Wszak pielgrzymowi serc i ciepła trzeba.
W ciemności onej zważ na mgłę wiszarów
I gwiazd nie szukaj wśród chmurnego nieba!*

— *Bo mi od dziecka siostrą była chmura
I melancholja szła, jak cień, za duszą,
I ból na serce ciskał krucze pióra,
Dlatego tak mię one mroki kuszą,*

— *Stój, stój, wędrowcze, rwą z tych gór potoki...
Czy ci tak dobrze w fal spienionych grobie?
Dlaczegoś objął twardą pierś opoki?
Nie bédźże matką zimna skata tobie.*

— *Ach, bom od dziecka wzrósł w śmiertelnej walce,
Wśród fal i wicherów, dziecka towarzyszy,
I w głąz wpijałem krwawe trudu palce...
Więc lepiej w wiry, kłątwa falom ciszy!..*

— *Lecz tam wyżyna, żrące pustek głogi,
Szaleje burza w chmurnym Boga domu;
Wędrowcze, lękaj się samotnej drogi,
Podstępnych druhów i nagłego gromu!*

— *Co mi druhowie?! Jam samotni grajek,
Ptak, o te chmury bijąc skrzydeł wiosłem,
Słuchając burzy—niańki ducha—bajek,
Sen piękna śniłem i w śnie tym wyrostem.*

— *Wędrowcze, mijaj skały i pioruny!
— Ja na wyżynie, wzrok mój chmury porze,
Sięgnąłem światła i z pomroków truny
Zmartwychwstające zobaczyłem zorze.*

Józef Stanisław Wierzbicki.

Na marginesie

Bawił w Wilnie dziennikarz z Krakowa. O Litwie miał dotąd takie mniej-więcej pojęcie, jak francuz o Polsce—kraju, leżącym gdzieś między Bałkanami, a biegunem północnym. Krakowianin znał Litwę o tyle, że wiedział o unji horodelskiej, suchych kielbasach, koldunach i języku litewskim, który się od polskiego tem podobno różni, że... jest bardziej śpiewny. Pozatem wiedział o Murawjewie, Krożach i... Chełmszczyźnie. (Nie żartuję!)

Obecnie bawił cztery dni w Wilnie; zwiedził górę Zamkową, Troki, Zakret i — poznał Litwę.

Pytam go na odjeździe:

— Jakże się panu podobało?

— Och! — powiada — kraj strasznie zacofany. Szlachecki, klerykalny...

— Tak, tak — odrzekłem, smętnie kiwając głową — wiadomo: wszystko idzie naprzód, a my stoimy w miejscu. Taki już los...

I zawstydziłem się za Litwę, choć na to mandatu nie miałem.

A słuchał nas pewien siwowłosy staruszek. Słuchał i uśmiechał się w milczeniu.

Aż nagle powiada:

— Litwa zawsze była bardziej, niż Polska, zacofana. A jednak, czy nie zastanawia panów fakt, że zdawien dawna kraj ten był i jest macierzą większości radykałów polskich? Rejtan, Kołłątaj, Kościuszko, Czacki, Mickiewicz, Słowacki... Lecz poco aż do przeszłości sięgać? Toć i dziś jeszcze, gdy na bruku warszawskim lub krakowskim spotkasz kogoś bardzo czerwonego, a spytasz: skąd jest — odpowie ci najczęściej, że z Litwy.

Zamyślił się.

— Rzeczywiście, prawda.

— Dziwny kraj. Nieobliczalny.

* * *

— Ba! że nieobliczalny — przekonał się już choćby teatr wileński.

Publiczność grymaśna, niewyrobiona... A nagle upodoba sobie rzecz istotnie piękną; pozna się na niej i odczuje głębiej, niż nawet publiczność krakowska.

Albo weźmy choćby *fiasco* Wincentego Lutosławskiego.

Czy mógł się ktoś spodziewać, że filozof, który w sposób bezsprzecznie oryginalny, poważny, śmiały

dojdzie do apoteozowania wielu ideałów zachowawczych, wywoła właśnie w arcy-konserwatywnym Wilnie jednogłośny protest?..

A tak się przecież stało.

Nawet „Kurjer Litewski“ odważył się potraktować gościa, jako prelegenta, „który zawsze wchodzi w zatargi z publicznością“.

Twierdzenie to nieścisle. Boć Lutosławski nie *zawsze* wchodzi w zatarg z publicznością. Ale że w Wilnie wszedł — to nie ulega wątpliwości.

* * *

Nie mamy tu emancypantek. Te, co robią trochę ruchu i tłumionej wrzawy, — toć to przecież niewiniątka w porównaniu z obozem takiej choćby p. Marji Turzyny, albo Dulębianki.

Przeciętna „emancypantka“ wileńska na wspomnienie sufrażystek angielskich żegna się pobożnie...

— Panie, strzeż od pokus szatańskich.

Gdy słyszy o pretensjach lwowianek do zasiadania w sejmie, jest najświęciej przekonana, iż biednym siostrom z nad Pełtwi w głowach się przewróciło.

A jednak, kiedy p. Wincenty Lutosławski poradził kobiecie w ogólności myśleć przedewszystkiem o czystych kołnierzykach męża — wśród wileńskich zawrzało.

— Co takiego?!..

I szmer, groźny szmer przeszedł po sali.

Oburzenie było, jeśli nie większe, to z pewnością powszechniejsze, niż byłoby w Warszawie, Krakowie lub Lwowie. Bo w każdym z tych miast (postępowych w porównaniu z Wilnem) znalazłyby się na odczucie filozofa i zwolenniczki cnót gospodarskich, pojmowanych po prababkowemu.

Inaczej w Wilnie.

Wileńszczyzna, ciekawa prelekcji filozofa, nie pogodzi się z myślą, by jedynym celem jej życia miało być chodzenie koło garderoby męża.

* * *

— Przedewszystkiem — tłumaczy mi jedna z oburzonych — mamy za wiele starych panien, byśmy mogły każdą dziewczynę uczyć tylko dogadzania mężczyźnie...

Tu zapłonęła się i urwała nagle.

— A po drugie?!.. — spytałem, by ulżyć jej zakłopotaniu.

— Po drugie, nie poto wydałam rubla na bilet, zniszczyłam nowy kapelus, czekałam pół godziny w szatni, by ostatecznie usłyszeć z ust filozofa to, co słyszałam od mojej nieboszczki ciotki, którą zawsze uważałam za starą, ograniczoną zrzęde.

* * *

Zdaje się, że właśnie ten ostatni zarzut trafia w sedno niepowodzenia p. Wincentego Lutosławskiego.

Pewien ziemianin, konserwatywny, jak pudełko sardynek w trzeciorzędnej restauracji, w zupełnie podobny sposób skrytykował artykuł filozofa naszego, ogłoszony w „Kurjerze Litewskim“ („Hierarchja ducha“).

— Patrz pan, — powiada, co on tu pisze: „Wbrew ilnzji tych, co w rewolucji francuskiej rzucili hasło równości obok braterstwa, trzebaby uznać, że ludzie są nierówni duchem...“

— A pan jest innego zdania? — zapytałem zdziwiony.

— Oczywiście — zachnął się — jestem tego samego zdania.

— No więc?..

— Ależ na to on jest filozofem, żeby miał zdanie inne, niż ja i mój ekonom. Nie poto człowiek czyta rozprawy mędrków, żeby się dowiadywać tego, co wie bez nich,

* * *

Otóż kto wie, czy owa osobliwość Litwy — wstecznej, a radykałów na eksport rodzącej — nie tkwi w tem właśnie, iż człowiek tutejszy, węgietujący po staremu, jak dziad, pradziad; człowiek, pozwalający sobie na wybieganie myślą poza interes osobisty jedynie w chwilach świątecznie podniosłych — tęskni za czemś, wręcz przeciwnem jego szarej praktyce życiowej. Gdy raz już pozwoli sobie na abstrakcję, na oderwanie się od powszedniości, na wzlot ku ideałom — otrząsa z siebie wszelki proch ziemski, marzeniu żadnych granic nie stawia.

* * *

Lecz *à propos* owej równości...

„Równość — to złudzenie warcholów — powiedział p. Lutosławski. — Ludzie są bardzo nierówni...“

Tę samą nowinę ogłosił już i p. Kosiakiewicz. Jest ona wogóle teraz na ustach wszystkich ideologów konserwatyzmu. Sądzą oni, że tą drogą potrafią zdyskredytować jedno z najświetniejszych hasel rewolucji francuskiej.

Co za dziwne złudzenie!

A toć nikt przecież nigdy nie twierdził, że wszyscy ludzie są duchowo równi.

Alboż przypuszczał ktokolwiek, że p. Lutosławski jest równy Platonowi?

P.p. Kosiakiewicz i Krzywicki, choć obaj zajmują się socjologią, czyż równi są sobie? Lub weźmy dwu powieściopisarzy: ot, choćby Jeske-Choińskiego i Żeromskiego. Największy nawet doktryner demokracji nie będzie twierdził, że ludzie ci są sobie równi.

To jednakże nie obala bynajmniej zasady demokratycznej, podniesionej przez rewolucję francuską, która żądała zniesienia przywilejów stanowych i równości ludzi *wobec prawa*. Bo dopóki zrównania tego nie było, „dobrze urodzony“ półgłówek zajmował (jeszcze częściej, niż dzisiaj) wpływowe w społeczeństwie stanowisko, a „źle urodzony“ gienjusz nie miał sposobu wyzyskania darów swoich na użytek ogółu.

To takie, zdawałoby się, jasne, takie proste. Wprost pojąć trudno, jak można dotąd jeszcze tracić energję na wojowanie z tą prawdą.

* * *

Lecz godzi się pamiętać jeszcze o jednej okoliczności. Mianowicie, że hasło rewolucji francuskiej, głoszące równość praw, było nieuniknioną konsekwencją znacznie wcześniejszej nauki.

Któż bowiem pierwszy w dziejach świata o równości mówił?

Toć równości wobec Boga nieznaną do czasów Chrystusowych.

I dopiero ta kardynalna zasada chrześcijaństwa była wyłomem, który musiał też długo budzić protesty duchów, usiłujących małość swą sztukować hierarchją kastową.

Behra.

Lutosławski w Wilnie.

(Głos z audytorjum).

Jeżeli bywają zmierzchy bogów, bywają też zmierzchy bożków, tych fetyszów tłumu, wynoszonych przez chwilę ku najwyższemu szczytom, i strąconych potem na zwykle równiny. — Myśl tę nasunęły mi odczyty prof. Lutosławskiego w Wilnie.

Przed laty kilku noszony był tu wprost na rękach. Panie, panny i panienki, skłonne do entuzjasmów, oraz grupka młodzieńców latała za nim po odczytach, zrywała się o 5-ej rano, byle w oznaczonej godzinie widzieć „mistrza“, byle spłynęła z jego słów, z jego postaci jakaś moc nadzwyczajna, siła tajemnicza, wielkość.

Tak było. Było i minęło. Ze wszystkiego ludzkość wyrasta, zwłaszcza z szat apostoelskich, przywdziewanych ku pociągnięciu zastępów w swe szeregi. Szeregi się przeredziły bardzo, bardzo. Warszawa z humorem odniosła się świeżo do tych odczytów. Wilno, jakkolwiek przyszło na nie parę razy dość licznie, ale postąpiło przez te lata w duchowym rozwoju o tyle, że już całkiem krytycznie sądziło prelegenta, wyłączywszy, rozumie się, grupkę młodzieży, zaagitowanej przez jego adeptów. Nikt nie odmawia zasług prof. Lutosławskiemu w *przeszłości*, w studjach nad Platonem, w szerzeniu zasad wstrzemięźliwości etc. Mówimy o terażniejszości. — Powiadają, iż uczeni z jednej kości mamuta odbudowali całe to przedpotopowe zwierzę. Więc i my, nie chcąc nużyć łaskawego czytelnika, zatrzymamy się na kilku tylko znamiennejszych momentach tych odczytów. Wartość reszty czytelnik sam w duszy sobie dośpiewa.

Na pierwszy ogień poszła kwestja kobieca, traktowana w iście średniowieczny sposób. Z licznych wywodów, zaczawszy od Adama i Ewy, prelegent doszedł do wniosku, że niewiasta (poza siostrą miłosierdzia) potrzebna tylko na świecie mężczyźnie „wedle cyru i opierunku“, jak mawiały pradziadki, co nawet „dobrze oddziaływa na jej zdrowie i wygląd“. Ale i w tych domowych zabiegach około mężczyzny nie jest kobieta twórczą, bo chociaż, jak powiada szanowny prelegent, nie była nigdy odsuwana od garnków, wszelako i w tym przyrodzonym sobie świecie nie okazała nigdy żadnej twórczości! Tu widocznie duch Cwierciakiewiczowej (że już nie wspomnę o jej starszych poprzedniczkach) roztoczył takie kuszące aromaty 365-ciu obiadów nad głową prelegenta, iż się w tej głowie wszystko zamroczyło i pomieszało. I nikt już tego wieczora nie mógł rozplątać i zrozumieć, czy miłość jest *tylko* w małżeństwie, czy *tylko* poza małżeństwem, i czy „miłość wyłamuje się z wszelkiego prawa“, czy też „ona i nierozzerwalne małżeństwo to jedno“ i t. d., i t. d. „I Bogu świeczka i diabłu ogarek“, wedle praktycznej recepty. Żałowałem, iż szanowny prelegent, powołujący się tak często na siebie, nie uczynił tego w tej kwestji. Możeby się coś rozjaśniło. Utknęliśmy wreszcie na „swobodzie i różnitości duchowych związków między mężczyzną a kobietą“—i z temi błogimi domyślnikami rozeszliśmy się do domów po 45-ciu minutach tykania, wedle powyższej recepty spreparowanych przeźtorów.

Nazajutrz szanowny prelegent nie był w humorze, i wymyślał wszystkim, co ośmielili się go krytykować. Usłyszeliśmy nową „prawdę“, że „pol-

skość nie jest z ziemią swoją związana: polskość obejść się może bez ziemi, może być w *duchu* wszędzie—na słońcu, na księżycu, na Marsie, na Saturnie, wszędzie!“

W kwestji wychowania szanowny prelegent do wielu elementarności i kilku zdrowych ziarn o szkołach z prawami i bez praw domieszał tyle plew, oblał je takim dziwnym ekstraktem własnych pomysłów, iż publiczność, całkiem już zniecierpliwiona, czekała końca. Uczniowie z zadowoleniem zanotowali, iż dwójkowy uczeń więcej wart od piątkowego i jako najbliższy skutek wykładów „mistrza“, kto wie, czy nie okazał się zdwojone wielkanocne dwoje.

Skaut podległ krytyce, zwłaszcza jego system wywiadowczy.

Czyż my tych wywiadów w przeszłości mieliśmy za wiele?

My, cośmy zawsze wszystko prześlepiali?

Na zakończenie obraz, jakim ma być „chrześcijański“ dom, w którym niewiasta ma być wybięrana, wedle swej cnoty, dom wymięciony ze śmieci i następnie wymadlania sobie potomstwa“. Szanowny prelegent zaznaczył, iż w szerszym gronie mówić mu o tem trudno; ofiarował swe rady prywatnie każdemu z ciekawych.

Przypomniał się tu nam wykład jego w b. Kole Kobiet przed kilku laty o „bożych dzieciach, co się same wychowują“. Rady, dawane tam dla wydania na świat owych „bożych dzieci“, — wywołały w słuchaczach—od najstarszej aż do najmłodszej—szczery, do dziś pamiętny śmiech!

Zabójczy śmiech.

Wużet.

Józef Chelmoński.

(Wspomnienie pozgonne).

Zmarł jeden z najwybitniejszych przedstawicieli epoki wielkiego malarstwa polskiego. Chelmoński stał w szeregu olbrzymów takich, jak Matejko, Siemiradzki, Gierymscy, Brandt...

To jeden z tych właśnie.

Odtwarzał poezję polskiej natury, polskiego życia, zapatrzony w nie, zakochany.

Mijały mody, sposoby, odkrycia, zdobycze, upodobania — on pozostał jednakim, wiernym przez żywot cały największemu odkryciu, jakie we wczesnej młodości uczynił: że najcudowniejszą jest pieśń o polskiej ziemi. I śpiewał tę ziemię, tę niepojętą przez innych krasę, od pełnych młodego ognia rapsodów o koniu, o stepie, o bujnym życiu człowieka i konia, poprzez wspaniałe typy szlachty, poprzez lud — niespotykanych przedtem chłopów, poprzez gienialne sprawy zwierząt i ptactwa, aż do bezmiarów duszy przyrody, do krajobrazu, płynącego jak symfonia o płowej ziemi pod błękitnym niebem.

Józef Chelmoński jest wcieleniem krajobrazu polskiego w polską sztukę. Ale nie można go zacieśniać w pojęciu: pejzażysta. W żadnej definicji, w żadnej gotowej i konwenansowej formule on się nie mieści. Potężne jego kreacje, krajobrazy, ludzie, konie, lasy, pola łąki, błyski słoneczne i mgliste opary, motywy pełne światła i noce gwieździste, sceny chłopskie, odpustowe, myśliwskie, jarmarczne, pasterkie i żebracze, nastroje różnych pór roku, kurne chaty

zadymione, świty i zmierzchy, pogody i sloty — wszystko to zespala się, jako zbiorowy duch krainy polskiej.

To wszystko malowana „Pieśń o ziemi naszej“.

I póki ta ziemia polską zostanie, imię Józefa Chełmońskiego pozostanie w niej nieśmiertelnem.

Wszystko, co Chełmoński stworzył, owiane jest jakąś dziwną, jemu tylko właściwą poezją. Chełmoński nie szukał nastrojów, ale za to odruchowo, po prostu, jakby bezwiednie je tworzył bezpośrednim odruchem i tchnieniem swego talentu. Miał w sobie polski smętek, ale i humor polski posiadał. Urodzony wśród pól i zagród drobnej szlachty łowickiej, wchłoniął ją w siebie sercem i myślą, a przejął się nią tak silnie, że obraz jej nie opuszczał go nigdy, ani w domu, ani na dalekiej obczyźnie. Znakomita technika, jaką zdobył przez głębokie, długie i pilne studia, była dlań zawsze tylko środkiem, coraz bardziej doskonalącym się, do wyrażenia i odtworzenia tego, czem pełną była dusza jego, dusza wielkiego artysty z bożej łaski.

* * *

Józef Chełmoński urodził się r. 1849 we wsi Boczki w księstwie Łowickiem.

Mając lat 20, wstąpił do szkoły malarskiej w Warszawie, a jak wielu współczesnych, zachował przede wszystkim dla Wojciecha Gersona, pamięć wdzięcznego ucznia. Stąd w r. 1873 przeszedł do akademii w Monachjum. Tam umysł i talent jego dojrzały w całej pełni. Później udał się do Paryża, gdzie przebywał kilka lat. W Monachjum, Paryżu i Berlinie otrzymał medale honorowe. Przed 20 kilku laty powrócił na stałe do kraju, nabył posiadłość pod Grodziskiem, niedaleko Warszawy, gdzie też po dłuższej chorobie żywota dokonał.

Q.

PRASA POLSKA.

— „Humanista polski“, zwraca uwagę na „ostatnie uwłaszczenie“ włościan, mianowicie prowadzoną obecnie regulację służebności. Organ Aleksandra Świętochowskiego wskazuje trafnie bolesną stronę dziejów naszych, która sprawiła, że uparta ślepotą oddała ostateczne rozcięcie pęt chłopstwa w ręce obce.

A pamiętajmy, że...

„Nigdy i nigdzie nie odezwał się sprawiedliwszy i serdeczniejszy głos w obronie skrzywdzonego ludu, niż Kościuszki, Kołłątaja, Staszica, Towarzystwa demokratycznego; nigdy i nigdzie nie postąpiono z nim uczciwiej, niż Zamojski, Brzostowski, Jabłonowski i inni. Wystąpienia i czyny jednostkowe były wspaniałe, stanowiły chlubę swego czasu i narodu, natomiast uchwały zbiorowe spadały na najniższy poziom kastowego sobkostwa...“

Istotnie, jest to zjawisko stale u nas aktualne. Jednostki i niewielkie grupy idejowców posiadamy zawsze takie, że nietylko własnemu narodowi, ale całej ludzkości przodować mogą. Dodają one blasku imieniu polskiemu — imieniowi, które następnie przyciemnia tępy, ślepy tłum, dowodzony przez demagogów, schlebających konserwatyzmowi i sobkostwu.

To też:

„Podczas gdy szlachetne napomnienia jednostek nie znajdowały odgłosu, a obywatelskie zamiary ciał zbiorowych leniwie zdążyły do czynu, cesarz francuski dał chłopom polskim wolność, a cesarz rosyjski — własność“.

Zdawałoby się, że, nauczeni doświadczeniem, powinniśmy obecnie skorzystać z ostatniej okazji — ostatecznego uwłaszczenia ludu; przejąc się sprawą regulacji serwitutów po obywatelsku, ując kwestję szeroko, idejowo. Niestety, tak nie jest.

W „Kurjerze Warsz.“ ukazał się artykuł jakiegoś Expertusa, który radzi obszarnikom nietylko, jak się przeciw chłopom, przy regulowaniu serwitutów, bronić, ale jak ich wyzyskiwać, a nawet... wyprowadzać w pole.

Słusznie więc woła „Humanista“:

„Pamiętajmy, że jest to ostatni obrachunek dworu z chatami i że jeżeli przy nim obszarnicy nie okażą dobrej woli i sprawiedliwości, ich sobkostwo odbije się w pamięci tak głęboko, że wspomnienia o niem wieki z niej nie wydrą“.

— Na zawartą niedawno w Galicji ugode polsko-rusińską ciekawe rzuca światło p. Brzoza w № 1 „Strażnicy“.

„Powodzenie swoje w ostatnich latach zawdzięczali rusini poparciowi Wiednia. Rząd austriacki już nieraz w ubiegłym wieku próbował wygrywać rusinów przeciw sile Koła Polskiego w parlamencie centralnym. Było to jednak kokiełowanie doraźne, oportunistyczne w obrębie wewnętrznej polityki państwa. Zmienił się ten system na naszą niekorzyść wtedy, gdy Austria rozkołysała na chwilę swoje marzenia imperjalistyczne. Rok 1908, gdy dokonała się aneksja Bośni i Hercegowiny, a powstały dzięki temu zatarg z Rosją skończył się zupełnym powodzeniem austriackiej dyplomacji, natchnął sfery decydujące w Wiedniu nadzieją, że w zbliżającej się wojnie z Rosją uda się zagarnąć Ukrainę aż po linję Dniepru. Nastąpił okres forytowania rusinów, ponieważ ich pomoc zdawała się być użyteczną w ewentualnej wojnie. Imperjalizm austriacki zbiegł się wtedy z „imperjalizmem“ ukraińskim. Linja Sanu stała się i dla Wiednia podstawą orientacyjną. Rusini stali się więc nie tyle narzędziem w zakłaniach wewnętrznej polityki austriackiej, ile ośrodkiem nadziei na rozszerzenie granic państwa po Kijów. Jasną jest rzeczą, że w tych warunkach cena rusinów poszła na giełdzie wiedeńskiej mocno w górę. Czuli oni to dobrze i pozwalali sobie na wszelkie ekstrawagancje parlamentarne, a nawet morderstwo Potockiego nie zdołało zaważyć na ich niekorzyść. Przeciwnie, raczej zaczęli zniewieściałym mieszczuchom niemieckim imponować swą burzliwością i temperamentem. Austria obiecywała sobie złote góry po rusinach.“

Cały ten gmach nadziei niemieckich poszedł w gruzy, gdy państwka bałkańskie same ujęły w ręce „kwestję wschodnią“ i rozwiązały ją bez udziału mocarstw. Niespodziewanie znalazła się Austria w położeniu, że zamiast być mocarstwem imperjalistycznym, schodzi na poziom państwa atakowanego. Od południa wdziera się w granicę Austrii agitacja wielko-serbska, od wschodu zjawiają się rumuńskie apetyty na Siedmiogród i Bukowinę, a w Galicji wschodniej ożyła niezwykle propaganda moskalofilska. Związły ten obrazek dostatecznie wskazuje, jak bardzo zmieniły się role.

Wraz z linją Dniepru straciła swoje przelotne znaczenie i linja Sanu. Runął cel, zatem zachwiała się i podstawa operacyjna. Rusinom dano to do poznania i chcąc nie chcąc musieli spuścić z tonu. Bez zwycięstw, słowiańskich na Bałkanach, nie zjawilyby się warunki, które pozwoliłyby metropolicie Szeptyckiemu wyznaczyć godząc się na system proporcjonalny we wschodniej Galicji, godząc się rusini na uznanie naszej osiadłości w tych stronach. Nie rewelacje Krysiaka lub argumenty dyskusyjne zdecydowały o losach ugody w sprawie reformy, ale ogromna doniosłość dziejowa wypadków bałkańskich, które zasadniczo zmieniły charakter zewnętrznej polityki austriackiej.

Jest to pierwszy dorobek, który zawdzięczamy rozwiązaniu się „kwestji wschodniej“.

Częściowe odwrócenie uwagi od Bałkanów i pożegnanie się z rachubami na podbój Ukrainy, zmusi Austrię — zdaniem autora — do obrania nowego kierunku ekspansji.

GŁOSY ROSYJSKIE.

Ruch spółdzielczy na Litwie.

W sprawie „polityki kooperatywnej“ „Riecz“ zamieściła list z Litwy, którego pewne ustępy zasługują na uwagę.

„Zdawałoby się — pisze „Riecz“ — że warunki bytu włościan na Litwie — indywidualna własność rolna, bliskość Zachodu etc. przedstawiają grunt bardzo podatny dla rozwoju szerokiego kooperatywy, zwłaszcza kredytowej.

Lecz podobnie, jak w sprawie rolnej, hamują postęp gospodarczy wyższe kombinacje politykującego Henryka Blokka — i tutaj polityka kresowa rzuca pałki w koła kooperacji.

Na zjazd okręgowy towarzystw spółdzielczych Litwy nie pozwolono ze względu na „porządek państwowo“. Uchwała mozyrskiego zjazdu ziemskiego o wszczęcie starań, aby ziemstwa uzyskały prawo, tworzyć związki ekonomiczne i rolnicze, nie była zatwierdzona przez gubernatora i została uchylona przez zarząd gubernjalny. Gubernator grodzieński nie pozwolił otworzyć sklepu spółdzielczego w Suchowoli, pow. sokólskiego na tej podstawie „prawnej“, że władze nie widzą w Suchowoli ludzi, posiadających niezbędne do kierowania sklepem spółdzielczym wiadomości...

W rzeczywistości przyczyna kryje się, naturalnie, w tem, że założycielami sklepu spółdzielczego byli polacy. Urzędowy „Wileński Wiestnik“ prowadzi otwartą kampanję przeciwko wileńskiemu Towarzystwu popierania kooperacji za jego jakoby polonizatorskie dążności.

Dalej „Riecz“ wskazuje stały rozwój ruchu spółdzielczego na Litwie i tutaj wypowiada takie uwagi:

„Na czele wszystkich w rozwoju kooperacji kroczy gub. kowieńska, a w pozostałych — sieć kooperatyw zgrupowała się przeważnie w powiatach zachodnich, w miejscowościach, zaludnionych przez Polaków, Litwinów i kolonje łotewskie. Bardzo charakterystyczny jest rozkład organizacji spółdzielczych, nie korzystających z żadnych zapomóg rządowych: w gub. kowieńskiej istnieje do 100 towarzystw spółdzielczych, w wileńskiej 40, w grodzieńskiej 10, w pozostałych, mniej „inorodczych“ guberniach sklepy spółdzielcze liczą się na jednostki“.

Koniec sprawy Pietrowa,

Sprawa dragomana Pietrowa znieważonego i pobitego przez agentów kolejowych na stacji Klin, do czekała się „swoistego“ końca. „Rus. Słowo“ dowiadyje się właśnie, że minister komunikacji Ruchłow, skorzystawszy z przysługującego mu prawa, jako zwierzchnik oskarżonych kolejarzy, umorzył w stosunku do nich całą sprawę o pobicie Pietrowa. Ze swej strony minister Makłakow nie chce zezwolić na oddanie pod sąd żandarma Machonina.

Wobec takiej sytuacji Pietrow mógłby wystąpić jedynie z oskarżeniem prywatnem, ale nie ulega wątpliwości, że nie potrafiłby zdziałać wiele w tym kierunku, ze względu na trudności w sprowadzaniu świadków i t. d. Dlatego też Pietrow zrzekł się oskarżenia prywatnego.

Na domiar złego Pietrowa pociągnięto do odpowiedzialności za ubliżenie urzędnikom, pełniącym obowiązki służbowe. A więc niesłychana sprawa Pietrowa, opowiada „Rus. Słowo“, ma też koniec niesły-

chany: „Dragomana Cesarskiego konsulatu rosyjskiego zbili agenci kolejowej administracji policyjnej, ogłosili go za warjata, włożyli nań kaftan bezpieczeństwa i dragoman będzie sądzony za znieważenie urzędników“.

Nie jest to bajka — lecz t. zw. „rzeczywistość rosyjska“.

NA WIDNOKRĘGU.

Jak co roku na wiosnę, zadymiło się znowu nad wulkanem Bałkańskim. Noworodek dyplomacji europejskiej, płód jej dążeń humanitarnych — „królestwo“ albańskie — prowadzi już pierwszą bohaterką walkę z buntownikami, których konferencja londyńska, nie bacząc na ich narodowość grecką, podarowała ks. Wiedowi.

Młody monarcha pragnie tedy okazać się godnym berła i korony. Zarządził mobilizację i szle szych górali do Epiru.

Zadanie to jednak niełatwe.

Epiroci mieli nietylko dość czasu na zebranie 20 tys. wojska — t. zw. „bataljonów świętych“ — na wyćwiczenie ich i zaopatrzenie w karabiny, armaty i mitraliezy, ale też na ciche porozumienie się z Grecją, z natury rzeczy sprzyjającą powstaniu.

To też, mimo tryumfu milicji albańskiej, której udało się zdobyć Koricę, dalsze sukcesy armji ks. Wieda niezbyt są pewne. Niektórzy nadto przypuszczają, że nowemu władcy skrycie szyje buty własny jego minister, Essad-pasza, który, jak wiadomo, sam rościł pretensje do tronu albańskiego.

Cała ta sprawa ma zresztą nietylko znaczenie lokalne: wiąże się ona ściśle z zakulisowemi intrygami dyplomacji tak trójprzymierza, jak trójporozumienia. Czynne jest zwłaszcza to ostatnie: pragnie ono przeciągnąć na swoją stronę Grecję, usposobić ją wrogo dla trójprzymierza.

Uczynić to nie trudno, ile że w istnieniu Albanji w jej zatwierdzonych granicach, zainteresowane są Włochy i Austria. Oddanie Epiru grekom uszczupliłoby część południową nowo utworzonego państewka, stanowiącą sferę wpływów włoskich. W dalszym ciągu zatem groziłoby to nowemi porachunkami, działaniami i konfliktami między Wiedniem, a Rzymem.

Wobec tak przykrych ewentualności, wybiera się do Aten cesarz niemiecki, jako bezpośrednio niezainteresowany, by skłonić zięcia do wyrzeczenia się Epiru lub obmyślenia jakiejś innej kombinacji.

Ale i na innym punkcie zagrożone są bałkańskie wpływy trójprzymierza. Strona przeciwna czyni energiczne starania, by ostatecznie już odciągnąć odeń Rumunję, która doniedawna znajdowała się pod przemożnym urokiem Wiednia i Berlina. Jakkolwiek rodacy jej w sporej części „jęczą pod jarzmem“ węgierskiem, żałowała tych przedewszystkiem, których los wtłoczył do Besarabskiej gubernji. Dziś ów stan rzeczy się zmienia. Wobec tego, że Rumunja, łącznie z Serbją, przeciwstawia się wzrostowi potęgi bułgarskiej, Austria zaś właśnie na złość Serbji chciałaby wzmocnić Bułgarię — w Bukareszcie postanowiono płakać przedewszystkiem nad dolą braci z pod madziara, a lamenty nad braćmi besarabskimi odłożyć na kiedy indziej. Wyszukano zatem

punkty styczne interesów Rosji i Rumunji, poczem wyprawiono do Petersburga następcę tronu, powitane nad Newą otwartymi ramionami.

Lecz nietylko europejska część „Słodkiego Wschodu“ jest dziś widowiskiem wzmożonego współzawodnictwa dwu mocarstwowych obozów.

Bo oto nagle odzywają się kurdowie w Armenji, rzekomo niezadowoleni z reform, które na rzecz tureckich ormian wywalczyło w Konstantynopolu dobre serce dyplomacji petersburskiej.

Zważywszy jednak, że reformy owe są ogromnie papierowe i ani ormianom szczególnych ulg nie obiecują, ani kurdom krzywdy wielkiej nie czynią; dalej—że są one wciąż jeszcze tylko zapowiedzią; że wreszcie wiadomość o nich nie mogła się zbyt spopularyzować wśród dzikusów, nie czytujących gazet—rodzi się wątpliwość, czy aby istotnie nowe wybryki kurdów mają charakter żywiołowy.

Wątpliwość tak jest poważna, że zarówno prasa petersburska, jak berlińska szuka postronnych aranżerów ruchu, I oto np. „Now. Wr.“ rzuca podejrzenie, iż młodoturcy umówili się z kurdami i grają komedję walki, bo chcą mieć dowód, że projektowane reformy spotykają się z oporem ludności. Inaczej wszakże oświeca sprawę „Berliner Tageblatt“. Uważa on powstanie kudrów za dzieło dyplomacji petersburskiej, szukającej okazji do interwencji i bezpośredniego zaopiekowania się biednymi ormianami.

Petersburg nadaje więc dziś ton polityce trójporozumienia.

Ma to niewątpliwie ścisły związek z wewnętrznymi kłopotami Anglii, która z *homerulem* rady sobie dać nie może. Projekt wprawdzie został przyjęty w drugim czytaniu przez izbę gmin; lecz nie posunęło to sprawy ani krok naprzód. Zresztą, narazie zeszła ona—jak już pisaliśmy—na plan drugi. Wysłnęła się natomiast konieczność uzdrowienia armji wielkobrytańskiej.

By rzecz tę przeprowadzić, tekę wojny objął sam prezes gabinetu, Asquith. Zgodnie jednak z konstytucją angielską, musi on poddać się ponownemu wyborowi na posła do parlamentu.

Udał się więc do Lodybank, miasteczka, stanowiącego niejako centrum jego okręgu wyborczego, i w niewielkiej sali, mieszczącej zaledwie 200 osób, wygłosił mowę kandydacką. Za hasło agitacyjne obrał: precz z politycznymi wpływami wojska!

Mówiąc o *homerulu*, wyraził nadzieję, że, mimo wszelkie przeszkody, najlepsze sily kraju zdobędą się na poparcie dążności rządu liberalnego, w kierunku udzielenia Irlandji autonomji.

na tem, że po otrzymaniu rachunku w języku rosyjskim w jednej z restauracji w Białymstoku, zażądał rachunku w języku polskim. Jest to już drugi wypadek tego rodzaju w Białymstoku.

== Z działalności oświatowej litwinów.

Walne zgromadzenie tow. „Saule“ odbyło się tego roku już w gmachu własnym, dokąd przeniesiono szkoły, utrzymywane przez to stowarzyszenie. Szkół owych jest w Kownie 6, a w innych miejscowościach gub. kowieńskiej 18; razem 24 szkoły litewskie, w których wykłada 42 nauczycieli i nauczycielek i uczy się 1,533 dzieci. Oprócz tego tow. utrzymuje w granicach gub. kowieńskiej 23 czytelnie. Filji posiada „Saule“ 63.

== Pilny wydatek.

Poprzednio zatwierdzoną pożyczkę miejską, w wysokości 150 tys. rb. na budowę w Wilnie teatru rosyjskiego, ministerjum pozwoliło podwyższyć o 463 tys. rb. Ogółem więc gmach teatralny kosztować nas będzie 613 tys. rb.

== Walka z szyldami.

Donoszą z Płoskirowa, że i tam już rozpoczęto krucjatę przeciwko szyldom polskim. Cały szereg osób: lekarzy, adwokatów, kupców i rzemieślników otrzymał identyczne rozporządzenie, usunięcia napisów polskich na szyldach w przeciągu 7-miu dni, pod groźbą, w razie oporu, pociągnięcia do odpowiedzialności z artykułu 29-go (niewypelnienie prawnych zarządzeń policji).

== Student i gubernator.

Za zbyt „miękie“ traktowanie ruchu ukraińskiego podczas uroczystości szewczenkowskich gubernator kijowski Sukowkin odszedł „w senatory“. Na gubernatora tego żalił się w Petersburgu student Gołubiew, że mu przeszkodził w urzędzeniu manifestacji antyukraińskich, połączonej, przy okazji, z wybijaniem szyb żydom.

== Agrypina Kopernicka.

W Stanisławowie zmarła Agrypina z Gillerów Kopernicka, siostra Agatona Gillera. W wypadkach 1863r. odegrała ona rolę wybitną, następnie długi czas przebywała na emigracji we Francji, Turcji i Rumunji.

== Szykany pruskie.

Szkolne władze pruskie zajęły się energicznie urzeczywistnieniem zamiaru wprowadzenia nauki religji po niemiecku dla dzieci polskich nawet w najniższych klasach szkół ludowych w W. Ks. Poznańskim.

== Ad acta.

Za przykładem lat dawnych, rada ministrów rozważyła najpoddaszy adres sejmu finlandzkiego w sprawie sytuacji politycznej w kraju i postanowiła go odrzucić.

== Tajemnicze zatrucia.

Masowe zatrucia robotników, które zdarzyły się pierwotnie tylko w fabrykach wyrobów gumowych, powtórzyły się następnie i w innych zakładach petersburskich. Przypuszczenie więc, jakoby powodem był nowowprowadzony smar, upadło. Niektórzy fabrykanci wyrazili podejrzenie, iż przyczyną jest obstrukcja chemiczna, mająca zmusić do strejku niesolidarnych robotników.

== Projekt prasowy.

Komisja dumska przyjęła większością 11 przeciw 9 głosom projekt prasowy. Opozycja złożyła votum separatum, w którym oświadcza, iż projekt sprzeciwia się zasadom, wyrażonym w manifestacie październikowym.

== Wizyta.

W Petersburgu bawił następca tronu rumuńskiego, by zawiązać „specjalnie przyjazne stosunki z Rosją“.

== Prawa Dumy.

W radzie ministrów rozważano kwestję inicjatywy prawodawczej Dumy i przyjęto nowe komentowanie ustawy—w duchu, ograniczającym prawa Izby poselskiej.

== Milczący ministrowie.

Wyjaśniono, że prezes ministrów, jako niezależny od senatu, nie jest obowiązany odpowiadać na interpelacje Dumy. Z tego samego prawa ma skorzystać minister sprawiedliwości, jako pełniący urząd generalnego prokuratora.

KRONIKA.

== Tajne szkoły.

W Jeziorosach wykryto dwie tajne szkoły. Pobierało w nich 10-cioro dzieci naukę czytania i pisania oraz pacierzy w języku polskim. Jedna ze „szkół“ tych znajdowała się w domu Marji Rutulowej. Druga w lokalu tow. „Saule“, a „wykładala“ w niej „służąca szkoły“ Jodinisowa.

Rutulowa i Jodinisowa skazane zostały administracyjnie na grzywny po 50 rubli każda, a prezes jeziorowskiej filji „Saule“, p. Tamenas, na 100 rb. Rodzice mają zapłacić po 5 rb.

== „Agitacja“.

Gubernator grodzieński skazał administracyjnie na 200 rb. kary agenta ubezpieczeniowego p. Ikarę, za „agitację przeciwko językowi rosyjskiemu“. Przesłstwo p. Ikarę polegało

= Dymisja Prutczenki.

Kurator petersburskiego okręgu naukowego, Prutczenko, otrzymał dymisję. Dymisja ta jest zwycięstwem ministra Kasso,

= Rozszerzenie praw kobiet.

Ustawa, rozszerzająca niektóre prawa mężatek, uzyskała sankcję Najwyższą. Pozwala ona kobiecie oddawać się dowolnej pracy bez wyjednywania zgody męża. Następnie rozszerza znacznie swobodę ruchu kobiety zamężnej, która odąd będzie mogła otrzymywać oddzielny pasport bez pozwolenia męża. Wreszcie najważniejszym jest to, że nowe prawo faktycznie wprowadza rozwody: w razie bowiem niemożności pozycia wspólnego, żona może opuścić męża.

= Paweł Heyse.

W Monachjum zmarł słynny poeta i powieściopisarz niemiecki, Paweł Heyse, laureat fundacji Nobla, autor głośnej powieści: „Dzieci świata” i w. in.

Treść:

Wzbiera... — H. R. C.
 Tragifarsa — Wester.
 Z pod Wawelu — J. Krzesławski.
 Kształcenie polityczne obywatela — St. Posner.
 Z wrażeń szwajcarskich — St. Dąbrowski.
 Wędrowiec (wiersz) — J. St. Wierzbicki.
 Na marginesie — Behra.
 Lutosławski w Wilnie — Wuzet.
 J. Chełmoński — Q.
 Prasa polska.
 Głosy rosyjskie.
 Na widnokregu.
 Kronika.
 Odcinek: Marzenie i czyn — W. Makowski.

Nora Walicka. POEZJE:

PROMETEJA,
 WRÓG,
 NA DNIĘ BORÓW
 DRZEMIE LICHO.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

WYSZEDŁ z DRUKU
 I JEST DO NABYCIA w KSIĘGARNIACH i KIOSKACH
 № 2

„Przeglądu Handlowo-Przemysłowego“
 kwartalnika, poświęconego sprawom handlu
 i przemysłu Litwy i Białorusi

Prenumerata rocznie 1 r. 20 k.
 półrocznie — 75 k.

Redakcja i administracja
 Wilno, Kalwaryjska 7.
 Redaktor i wydawca Bolesław Stądziwicz.

„STRAŻNICA“

Tygodnik poświęcony polityce polskiej oraz
 sprawom kulturalnym i społeczno-ekonomicznym
 od kwietnia r. b. zaczął wychodzić w Warszawie

pod kierunkiem pp. Ludwika Abramowicza i Wacława Dunina.

Adres redakcji i administracji: ulica Piękna № 52.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi rocznie 8 rb., półrocznie 4 rb., kwartalnie 2 rb.

Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzynku“. Miejscowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodne. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Jest to ostatnie przypomnienie! Po informacje należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzynku:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

Informacje są udzielane w ciągu całego dnia nie wyłączając świąt.